

Redaktor naczelny TADEUSZ ŚWIĘCICKI

Prenumerata miesięczna: z przesyłką pocztową lub dostawą do domu: **3,800.000** Mkp. — Zagranicą podwójnie. — W Ameryce rocznie 12 dolarów, półrocznie 6 dol.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

CENY OGŁOSZEŃ: W części inseratowej na ostatniej stronie za wiersz jednoszpaltowy milimetrowy **15 groszy** — cała kolumna **Złp. 200**·— pół kolumny **Złp. 100**·— 1/4 kolumny **Złp. 55**·— 1/8 kolumny **Złp. 30**·— 1/16 kolumny **Złp. 20**·—. W części redakcyjnej za 1 wiersz milim. jednoszpaltowy **40 groszy** — cała kolumna **Złp. 300**·— 1/2 kolumny **Złp. 160**·— 1/4 kolumny **Złp. 75**·— 1/8 kolumny **Złp. 40**·— 1/16 kolumny **Złp. 25**·—. Układ tabelaryczny 50 % drożej. Ogłoszenia zagraniczne 100 % drożej. — Oprócz ceny za zajęte miejsce należytość za klisze według cen bieżących obecnie **15 gr.** za centm.² Ogłoszenia kolor. 100% drożej. Ceny ogłoszeń w Złotych polskich obliczonych po urzędowym kursie Franka złotego.

Konto P. K. O. Nr. 140.260. Konto Bank Związku Spółek Zarob. w Krakowie. Redakcja otwarta dla stron od 10 — 12. Rękopisów i fotografji Redakcja nie zwraca

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. **Numer pojedynczy 1,000.000 Marek.**

Rok XXI. Kraków, 19 kwietnia 1924. Nr. 16.



Złożenie Chrystusa do grobu — według rzeźby Wita Stwosza w ołtarzu kościoła Marjackiego w Krakowie.





Powrót ks. Arcyb. Cieplaka z niewoli moskiewskiej: 1) ks Arcybiskup ze łzami radości wita Warszawę. Obok niego ks. biskup Ropp (z siwą brodą) 2) prezes Rady Miejskiej sen. Baliński wita ks. Arcybiskupa przemówieniem.

Alleluja!

Kraków, 20 kwietnia 1924 r.

— ...A potem zdjęli Boskie Ciało z krzyża i złożyli w zacisznym grobowcu, pośród skał na sen, jak się zdawało, wieczny. Matka boleściwa ostatnia pożegnała Go uściskiem. Pobok stali uczniowie, ból i rozpacz w sercu tłumiąc. I grób ciężkim przywalili kamieniem, a żołnierze rzymscy stanęli na straży, na prośbę Arcykapłana, aby nie spełniło się proroctwo Messjasza...

...Ale trzeciego dnia, mimo straże, mimo kamienne wieko, powstał Pan z martwych, jako był zapowiedział Apostołom swoim i wyszedł z grobowca na świat i ukazał się uczniom w smutku pogrążonym...

I spełnił się cud Zmartwychwstania, wieszczony przez Jezusa i Proroków Jego...

— Dziś, gdy w całej Polsce, od morza po Tatry dzwon Ressurekcji rozbrzmiewa, wielbiąc Pana nad Pany, co możniejszym jest ponad złość ludzką, gdy dzwon, powrócony obrabowanym przez wroga świątyniom, po raz szósty w wolnej na nowo Piastów Ziemicy Alleluja wolności wydzwania — łączymy się duchem z Wami, Drodzy Czytelnicy, szląc Wam słowa wiary, miłości i nadziei.

Rozprostujcie troską szarą przygniecione plecy, wzrok ku słońcu podnieście — bo oto wiosna znów zieleni pola i bzy, bo oto nadzieja rozkwita coraz bujniejszym krzewem w naszych sercach: Będzie lepiej, nie, już jest lepiej! Mnogo w całej Polsce miłej sił i mocy szlachetnej, mnogo dusz jasnych i serc chrobrych, jeno nam trzeba chwast ugorny wyplewić niezmordowaną prawicą sprawiedliwego gospodarza, i nowe ziarno zdrowe na nowo zoraną ziemię rzucić.

Jeno uwierzcie w naszą moc, ukochajcie słońce, przestańcie narzekać!

— Radujmy się w Panu! Alleluja! Bo oto w zmartwychwstałej Ojczyźnie zmartwychwstał Chrystus i zatrjumfował nad nocą śmierci i nędzą złości ludzkiej.

Alleluja!

Przyjazd ks. Arcybiskupa Cieplaka do Warszawy.

W pogodną, słoneczną niedzielę palmową dnia 13 kwietnia przybył do Warszawy ze wzruszeniem oczekiwany przez cały naród, wracający z bolszewickiej niewoli męczennik ks. Arcybiskup Cieplak. Nieprzejrzane tłumy publiczności witały go na ulicach miasta, przez które przejeżdżał.

Na dworcu witali ks. Arcybiskupa przedstawiciele władz i organizacji. Byli obecni: J. E. ks. kardynał Kakowski, nuncjusz Stolicy Apostolskiej J. E. ks. Lauri z członkami nuncjatury, ks. biskup Ropp, komendant miasta jen. Suszyński, komendant Okręgu korpusu warszawskiego jen. Konarzewski, wojewoda warszawski p. Sołtan, prezes Rady miejskiej senator I. Baliński, kom. policji warszawskiej p. Czynowski ze swym zastępcą p. Charlemagnem i w. i.

Pierwszy witał ks. Arcybiskupa w imieniu Warszawy sen. Baliński wyrażając radość z powodu powrotu jednego z najlepszych synów ojczyzny. Przemawiał następnie ks. Arcybiskup Ropp, a po nim kilku innych mowców imieniem stowarzyszeń i organizacji.

Ks. Arcybiskup Cieplak odpowiedział do łez wzruszony, poczem w powozie, z którego wyprzągnięto konie, wieziony przez ulice miasta, udał się do pałacu Arcybiskupiego przy ul. Miodowej, błogosławiąc po drodze witające go tłumy. *(S. G.)*



Ks. Arcyb. Cieplak (z wiązanką kwiatów w ręce) prowadzony przez tłumy do pałacu arcybiskupiego na ul. Miodowej w Warszawie.





Wystawa modeli lotniczych i aerofotografji w Warszawie: 1) Prezydent Wojciechowski dokonuje otwarcia wystawy przecinając wstęgę. Po lewej jego ręce wice-wojewoda warszawski p. Manteuffel. 2) P. Prezydent w towarzystwie adjutanta ppułk. Zaruskiego ogląda na wystawie model jednego z pionierów lotnictwa polskiego p. Tańskiego.

Sowieckie alarmy.

Warszawa, w kwietniu.

Inicjatywy i pomysłowości nie podobna odmówić sowieckim mężom stanu. Kiedy chodziło o uzyskanie od pewnych państw europejskich uznania obecnego rządu rosyjskiego, dyplomaci bolszewiccy nie przestawali rozgłaszać szeroko o czysto pokojowej polityce Moskwy. Osiągnąwszy zaś wytknięty cel, odrzucili gałązkę oliwną i rozwinęli starą carską chorągiewkę zaborczości.

Oczywiście chodzi im wyłącznie o wyzwalanie uciśnionych przez państwa burżuazyjne narodów... W imię tego szczytnego hasła rozpoczęli „robotę", zrywając z hukiem i trzaskiem konferencję wiedeńską z Rumunami. Nie mogli bowiem bolszewicy dłużej patrzeć na ucisk rumuński w „istinorosyjskiej" Bessarabji i zażądali plebiscytu w tej prowincji, któryby zadecydował o jej przynależności państwowej. Sowieckie poczucie sprawiedliwości jest więc istotnie imponujące i należy oczekiwać, że rychło zarządzą oni plebiscyt... w Gruzji.

Niestety delegaci rumuńscy nie poznali się na szlachetnych pobudkach działania bolszewików i oświadczyli kategorycznie, że dla nich żadna „kwestja bessarabska" nie istnieje. Wychodzili bowiem ze założenia, że wola ludności tego kraju, niedwuznacznie wyrażona w uchwałach jego przedstawicielstwa, otrzymała ostateczną sankcję w decyzji Rady Ambasadorów, przyznającej Bessarabję bez zastrzeżeń Rumunji.

Konferencja została więc zerwana a stosunki między Moskwą a Bukaresztem uległy silnemu naprężeniu. Czyżby więc Sowdepja dążyła naprawdę do wojny?

W Polsce, która ma szczęście sąsiadować z Rosją i znać wskutek tego najlepiej metody dyplomatyczne bolszewików, panuje w miarodajnych kołach politycznych przekonanie, że z możliwością konfliktu zbrojnego n i e należy się liczyć. Akcja sowiecka jest bowiem zwyczajnym manewrem, mającym na celu odosobnienie Rumunji na terenie międzynarodowym i odstręczenie od niej życzliwych jej mocarstw, przedewszystkiem Francji. Czy cel ten zostanie osiągnięty, to inna kwestja. Najlepszą w tej mierze wskazówką jest wielce zirytowany ton prasy rosyjskiej która uważa Francję za główną instygatorkę „uporu" rumuńskiego. Ale czekają dyplomatów sowieckich jeszcze boleśniejsze wiadomości: rząd paryski ma zawrzeć z Rumunją specjalną konwencję na wzór francusko-czeskiej a wizyta króla Ferdynanda nad Sekwaną zacieśni jeszcze stosunki między obома państwami. Jak to wyraźnie zaznaczył prez. Millerand, Francja stoi niewzruszenie na stanowisku uchwały Rady Ambasadorów, która przyznała Bessarabję Rumunji.

A Polska? Polskę łączy z Rumunją konwencja wojskowa, zobowiązująca obu kontrahentów do wzajemnej czynnej pomocy na wypadek niesprowokowanego ataku Rosji przeciwko jednemu z nich. Jak to podkreślił min. Sikorski w świetnej swej mowie senackiej, przy całej pokojowości naszej polityki byłoby karygodną lekkomyślnością nie liczyć się ze zbrojeniami naszych zachodnich i wschodnich sąsiadów. Zaskoczyć się więc nie damy. Obecnie jednak jest atak rosyjski wysoce nieprawdopodobny.

Bolszewicy zaś ze swej strony korzystają ze sposobności i przedstawiają wizytę rumuńskiego szefa sztabu, gen. Florescu, w naszym kraju, jako „polsko-rumuńskie przygotowania do wojny". Każdy jednak wie, że elementarną konsekwencją wszelkiej konwencji militarnej między dwoma krajami jest wzajemne zapoznanie się z organizacją wojskową. Taki jest też cel odwiedzin sympatycznego gościa, który objeżdżając główniejsze centra wojskowe polskie, zawiera dokładną znajomość z naszą armją, której nie szczędzi słów uznania. Jeżeli zaś Sowiety boją się przyjaźni polsko-rumuńskiej, to tem lepiej. *Dr. A. W.*



Przyszli królowie Bałkanu. Królowa Jugosłowiańska Marja z synkiem ks. Piotrem następcą tronu i szwagierka jej, następczyni tronu rumuńskiego Helena ze ze swym najstarszym synem.

Aeroplanem naokoło świata.

„Duch — wieczny rewolucjonista", jak wiadomo oczy ku górze wciąż nam podnosi i dążyć każe tam, gdzie stopa ludzka jeszcze nie była i przezwyciężać to, czego wola ludzka dotychczas złamać nie mogła. Ludzka myśl, ludzki geniusz opanował lądy — podbił morza, a obecnie od lat kilkunastu zdobyć pragnie jeszcze przestworza.

Ostatnia wojna przyczyniła się niesłychanie do zawładnięcia powietrzem. Coraz lepsze i coraz pewniejsze aeroplany dopomagały walnie wojskom lądowym. Po wojnie — wszystkie te latawce powróciły do służby pokojowej, przenosząc ludzi i przesyłki z niesłychaną szybkością po całej Europie.

Dotychczasowe aparaty nie pozwalały na długie przebywanie w przestworzach, latawce już po paru, najwyżej kilkunastu godzinach muszą lądować. Tem śmielszem przedsięwzięciem jest obecny *lot naokoło ziemi*, który zamierzają wykonać dwie eskadry: amerykańska i angielska.

Amerykańska wyruszyła na zachód, angielska w tydzień po niej na wschód.

Spotkać się mają obie w Tokio.

Wybrawy te odbywają się wprawdzie za inicjatywą prywatną, jednakowoż cieszą się jaknajgorętszem poparciem tak rządu, jak też i społeczeństwa Ameryki i Anglji.

Ekspedycje te natrafią po drodze bezwątpienia na dużo trudności i niebezpieczeństw, aczkolwiek stosunki atmosferyczne w tych krajach, ponad któremi lot ma się odbywać, zostały o ile możności zbadane i do wiadomości lotników podane. Jednakże droga samolotów prowadzi przez dziesiątki kilometrów ponad obszarami niezaludnionemi i zupełnie dzikiemi, gdzie lotnicy zdani będą na własną odwagę i przytomność umysłu.

Szczegóły tej interesującej podróży podawać będzie do wiadomości całego świata telegraf bez drutu.

Ilustracja nasza przedstawia właśnie odlot jednego z najlepszych aparatów, będącego szczytem techniki lotniczej.

Śmiały ten eksperyment pozwala nam spodziewać się, iż już w najbliższym czasie, odbywać będziemy najdalsze zamorskie podróże powietrzem przenosząc się szybko i bez trudu z kontynentu na kontynent z ptakami w zawody!

Ze sportu automobilowego.

W czasie między 4 a 7 marca bieżącego roku odbyły się międzynarodowe zawody kwalifikacyjne Paryż - Nizza (przestrzeń 935 km.) i startował w zawodach tych między innymi Baron Malberg na samochodzie A. D. M. 10/40 H. P. normalnego wykonania, fabryki Austro-Daimler. Baron Malberg przebył całą przestrzeń bez punktów karnych.

Zauważyć wypada, że były to pierwsze zawody na terenie francuskim po wojnie światowej, w których dopuszczono do udziału oprócz fabryk dawnej Koalicji, także fabryki austrjackie.

* *

Albert Doslo na samochodzie serjowym typ 469 N. fabryki „Om" (Officine Meccaniche Brescia) pokonał ostatni rekord światowy, przebywając na torze wyścigowym w Monzy 3400 km. bez przerwy w 48 godzinach przy średniej szybkości 70.5 klm. na godzinę.



Uroczyste nadanie na dziedzińcu zamkowym w Warszawie krzyża waleczności z potrójnem okuciem, adjutantowi króla rumuńskiego generałowi Florescu. Gen. Florescu z min. gen. Sikorskim w otoczeniu wojskowych.



Aeroplanem naokoło świata: Oficer-lotnik armji brytyjskiej Mac Claren z 2 towarzyszami rozpoczął swój lot „dookoła ziemi“ w Southampton. Wedle ostatnich wiadomości telegraficznych lotnicy ci utknęli na Korfu wskutek uszkodzenia aparatu i muszą tam oczekiwać aż nadejdą z fabryki, z Anglji, zapasowe części maszyn.

Koniec Hugona Stinnesa.

Hugo Stinnes!... Potentat finansowy, „der Goldkönig des Abenlandes“ — jak go nazywali niejednokrotnie feljetoniści niemieccy, obrońca Germanji na Górnym Śląsku i zażarty wróg Polaków wykreślony z listy żyjących. Krępa, silna postać jego, twarz stanowcza, zdecydowana, szpiczastą ozdobiona brodką, oczy czarne, wyraziste — wszystko to ścięte chłodem śmierci!



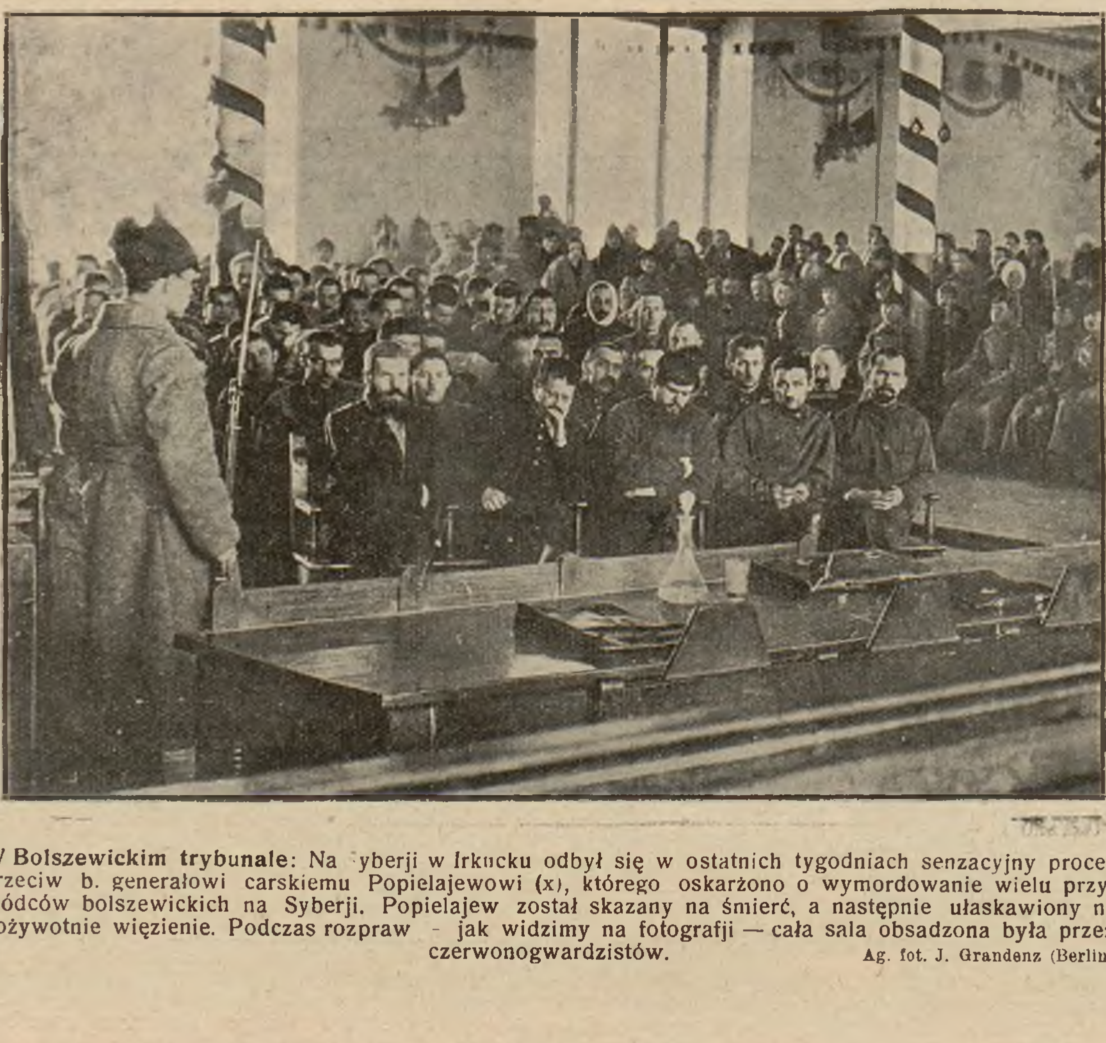
Hugo Stinnes.

Już mu dziś wszystko jedno, czy marka niemiecka w górę idzie, czy spada, obojętne mu jego domy w Berlinie, wille w Hannowerze, kopalnie i huty na Śląsku, w Austrji, Turcji i holenderskich Indjach, posiadłości w Holsztynie... Daleki, zimny i obojętny, ten, który kilkadziesiąt godzin temu jeszcze rzucał na szalę wypadków politycznych swe mocarne „tak“ lub „nie“, stwarzając niejednokrotnie wprost nową konstelację polityczno-ekonomiczną.

Do niedawna rachowano się z nim, bano się go i brano w rachubę; setki i tysiące ludzi zależnych od niego, w czyn wprowadzało jego wolę — a dziś on tylko rozkładającym się trupem!

Niezmierzony, wielomiljardowy majątek jego w czwartej części przypada Rzeszy niemieckiej, według istniejących ustaw. Uczyni to sumę 175 miljonów dolarów! Reszta, prawie pół miljarda dolarów otrzyma jego rodzina.

Śmierć tego niezwykłego, w swoim rodzaju, człowieka nie pozostanie bez wpływu na polityczne i ekonomiczne położenie Niemiec, których skarb, zasilony w tak poważny sposób częścią schedy Stinnesa, będzie mógł ustabilizować markę, utworzyć poważny fundusz sanacyjny i wypełnić żądania Komisji Odszkodowań, która pragnie pogodzić odbudowę gospodarczą Niemiec z wypełnieniem przez nich zobowiązań, od których dotychczas tak wytrwale się wykręcali.



W Bolszewickim trybunale: Na Syberji w Irkucku odbył się w ostatnich tygodniach senzacyjny proces przeciw b. generałowi carskiemu Popielajewowi (x), którego oskarżono o wymordowanie wielu przywódców bolszewickich na Syberji. Popielajew został skazany na śmierć, a następnie ułaskawiony na dożywotnie więzienie. Podczas rozpraw — jak widzimy na fotografji — cała sala obsadzona była przez czerwonogwardzistów. Ag. fot. J. Grandenz (Berlin).

K. A. CZYŻOWSKI.

SĘDZIA

(Szkic).

I.

Siedział w samym kącie zadymionej dokładnie winiarni i jasnemi, niebieskiemi oczyma spoglądał dokoła. Nikt go nie znał. Początkowo zwracano na niego uwagę, bo przecież zbierali się tu tylko w swojej kompanji. Ktoś spytał żyda, starego Mückenbruma, kto to taki.

– Nie wiem. Widać przyjezdny. Wstąpił i poprosił białego chleba i ćwiartki wina.

– Jakiś spokojny gość?

– Dlaczego nie ma być spokojny? Niech pan patrzy, jak cicho siedzi w kącie i tylko czasem swoje wino popija.

I dano mu spokój.

Wino tymczasem wszystkim krew zagrzewało i poczęło coraz szybciej krążyć w namiętnych słowach i giestach.

Był Wielki Piątek. Pół święto, a pół oczekiwanie święta, – kompanja się zatem zebrała znamienita.

Pan radca magistratu, znany biurokrata, dowodził radcy miejskiemu z partji socjalistycznej, że tylko etatyzm, bezwzględny posłuch władzy i solidne wypełnianie ośmiu godzin biura, wyprowadzą miasto, powiat, ba – społeczeństwo całe i państwo, na dobre drogi. Pan radca miejski z nałogu i obowiązku przedstawiciela opozycji, oponował.

Pan doktór Paweł, ubolewał nad szerzącą się ignorancją chorób.

– Dawniej panie, obcas kogo zabolał, lazł panie do doktora i płacił za wizytę. A dziś, ma to panie dziedziczne homoroidy w najwyższym stopniu i zamiast leczyć się, sam sobie panie czopki preparuje. Z głodu panie zdechnąć można.

Pan profesor gimnazjalny za guzik trzymał stolarza Oliwę i tłómaczył mu teorję nieznisz czalności energji.

W drzwiach stał stary poczciwy Mückenbrum i wszystkim się przysłuchiwał, od czasu do czasu zabierając głos gospodarski, t. zn. uciszający.

Tylko on, nieznany nikomu, przez nikogo nie nagabywany, siedział w kącie milczący i jakby zadumany.

Dyskusje stawały się coraz gorętsze i namiętniejsze. Z ogólnych tematów powoli przechodzono na osobiste bolączki. Już socjalistyczny radca atakował prezydenta miasta, dyskretnemi, ale przecież wszystkim wiadomymi „brudami", na co pan radca magistratu wzruszał ramionami na znak „trudno, wiemy coś o tem". Lekarz innych lekarzy wyzywał od nieuków i szantażystów, a pan profesor osłem nazwał drzemiącego stolarza Oliwę, co tego ostatniego odrazu rozbudziło.

Weszło z ulicy kilku jeszcze kompanów i dosiadło się do stolików.

Opary wina pomieszane z tytoniowym dymem, tworzyły jakąś dziwnie makabryczną atmosferę.

Zwolna prym wzięło narzekanie i szukanie samych złych stron życia.

Zmęczeni dyskutanci zamilkli na chwilę i wtedy wybił się nad zalany winem i zastawiony szklankami i flaszkami stół, skrzypiący czyjś głos, przypominający złowieszcze skrzeczenie wron. Wtedy niebieskie, jasne oczy nieznajomego przypatrzyły się skrzeczącemu mówcy.

Był to były pisarz sądowy, którego za rozmaite brzydkie sprawki i piękne łapówki, usunięto ze służby państwowej. Jego czerwona, pokryta krostami twarz, fioletowy nos i przebiegłe, maleńkie jak u szczura żółte oczy, były aż nadto dokładną wizytówką.

Przez usta nieznajomego przebiegł bolesny uśmiech.

Z głosu pisarza skrzypiącego przedziwne wiadomości, sączył się jad jakiś i przygnębienie wtłaczał się w atmosferę. W jadzie tym jakby szumiała treść słów, jaknajdokładniej dobranych do formy głosu.

Milczeli wszyscy biernie, a pisarz sądowy coraz bardziej skrzypiał, zanosząc się w pewnych momentach pijaczym śmiechem.

– Che, che, che, – milczycie! Boicie się ze mną podyskutować? Proszę, proszę, może kto z was ma ochotę posłuchać swego sumienia? Może pan radca magistratu pragnie dowiedzieć się o prawdziwej gospodarce miejskiej? Są jeszcze do nabycia cztery place miejskie. Che, che, – ma pan już dość? – A pan, panie rajco socjalistyczny, czy nie ma pan przypadkiem do nabycia jakiego nowego „towarzyskiego" szantażu? W zamian służę kilkoma kompromitacjami konserwy i centrum. Wczoraj właśnie coś nie coś tam wypłynęło na wierzch.

Milczeli wszyscy, jakby nie jego, a własnych głosów słuchali.

– Che, che, che, – pan doktór widzę zmartwiony. Niesłusznie, bardzo niesłusznie. Przecież ta sprawa ze śmiercią, przez pomyłkę, ubogiej wdowy, nie wykryła się jeszcze. Może się jeszcze okazać, że ją własne dzieci zabiły. Bo gdzież to kto widział żałować na lekarza. – Prawda? Inaczej się przecież leczy się za pieniądze, a inaczej za darmo, czy za pół darmo.

Twarz doktora złowrogo bysnęła oczyma, ale wnet pochyliła się ku stołowi.

– Cóż tam panie stolarzu? Dużo się udało skraść materjału z państwowej budowy poczty?

– Milcz drabie.

– Che, che, – dlaczego gołąbku mam milczeć? Dlaczego? Czy to nie przy jednym z tobą siedzę stole? Przecieżeśmy kompani.

– Kryminał ci kompanem, nie ja.

– Ty, ty, mój staruszku. Taka tylko między nami różnica, że moje złodziejstwa już się wykryły, a twoje i was wszystkich nie jeszcze. Ale pocieszcie się, wykryją się i one. Wiem coś o tem dokładniej.

Zaniepokojenie nagle przeleciało po winiarni i wszystkie pobladłe twarze zwróciły się ku pisarzowi. A w oczach wszystkich gorzał blask niepokoju i nienawiści.

– Mów kanaljo, co wiesz? – syknął magistracki radca.

– He, he, chcielibyście wiedzieć odrazu? Namyślcie się, a zgadniecie.

– Przyjechał?

– A kto?

– On, nowy sędzia.

– Aha, boicie się, że nowy sędzia przyjechał? Broiło się co nie miara, naskrobało się grzechów sporą kupkę, a teraz strach przed nowym sędzią? Tak, tak, przyjdzie pokwitować. Przyjdzie i wam tak jak mnie chodzić po dziurach i szynkach i szukać „zarobków".

– Nie filozofuj! Mów co wiesz!

– Przyjechał, przyjechał.

– Gdzie jest i kto on taki?

– Ho, ho, chcielibyście się wszystkiego odrazu i zadarmo dowiedzieć.

Postawiono przed nim sporą flaszkę.

– Masz psie, mów.

– Jakem pies, nie powiem nic. Gińcie sobie po kryminałach. Ktoś rzucił zmięty banknot.

– Za mało. Wiem dużo.

Ktoś jeszcze coś dorzucił.

– Więcej wiem. Mogę wam wydać w ręce, byście sobie z nim poradzili.

Posypały się banknoty. Zakrzywione chciwie palce zgarnęły szeleszczące papierki do kieszeni.

– Tak to co innego.

– Mów zaraz.

– Niech on mówi, kto on taki i po co tu wlazł.

Wskazał szponem na nieznajomego.

I nagle wszyscy go znowu spostrzegli. Już zapomnieli o nim, nikt nim się nie zajmował, aż tu – nagle, w jednej chwili, zrozumieli, że on cały czas siedział wraz z nimi w jednej izbie i słyszał wszystkie ich rozmówki i słyszał wszystkie oskarżenia pisarza.

Bladzi i drżący nienawiścią powstali ze swoich miejsc i posunęli się ku niemu. Ale on jasnemi oczyma spoglądał ku nim i uśmiechał się tak jakoś boleśnie, jakby tu właśnie po to przyszedł, aby przeciwko niemu powstali.

– Ktoś ty?

– Wędrowcem jestem.

– Pocoś tu wszedł?

– Wstąpiłem wina się napić i zjeść kawałek chleba.

– Przyszedłeś podsłuchiwać nas.

– Mówiliście głośno i słyszałem was. Ale jeśli chcecie, zapomnę o tem,

– Tyś nowym sędzią jest?

– Nic nie wiem o tem.

– Nie wiesz? A czemu się tak uśmiechasz, jakbyś jutro nas wszystkich stracić miał?

– Zabijcie go! – Zachrypiał głos.

– On z was się śmieje!

– Ktoś ty!?

– Czemu milczysz!?

– Pocoś tu wszedł?

– Szpieg!

– Zdrajca!

– Zabić!

Błysnęła szklanka w powietrzu i z bladego czoła popłynęła cienka struga krwi. Ale on ręki nawet do czoła nie podniósł i krew ciekła do szklanki z niewypitem, jasnem winem.

– Dlaczego mnie bijecie? Czyż powiedziałem komu z was choć jedno złe i przykre słowo?

Posuwali się ku niemu groźnie, gdy milczał, ale gdy przemówił, głos jego jakiś słodki i cichy, zatrzymał wszystkich na miejscu. Od oczu jego nie mogli swoich oczu oderwać.

A on uśmiechając się, jął mówić tak, jakby nie do nich, a do siebie mówił.

– Dlaczego źli jesteście? Czyż nie wiecie, że złość wasza przeciwko wam się obróci? Nie jestem sędzią. Wstąpiłem do tej winiarni, aby zjeść kilka orzechów, czy chleba i wina napić się. Niechcący usłyszałem skargi wasze. Słowa wasze pełne żalu i goryczy, pełne niezadowolenia z życia, bolały mię i dlatego mówię. Oczy wasze niepokojem palą się i chciałyby ukryć prawdę o was. Dlaczego? — Dlaczego? – Czy prawda wasza aż tak jest złą? – Nie, na pewno nie. Możeście ulegli pokusom i pełnili nie według sumienia. Możeście nędze i biedę cierpieli i bogactw wam się zachciało? Możeście korzystali ze swej siły, nie wiedząc, że słabszych zabijacie? Oto uderzyliście mię i rozcieli szkłem czoło moje, za to, żem się ku wam uśmiechał. I oto tak samo rozcinacie i mordujecie życie swoje własne, za to że się ku wam śmieje i uśmiecha. Pokój wam ludzie. Niech oczy wasze przestaną gorzeć nienawiścią, a słowa wasze niech nie kłamią o was. Nie sędziego nowego, ale siebie bójcie się. Oto ja nie mam nic, prócz serca, a wiem co to jest jasność i spokój. Wróćcie do domów i oddajcie, co nie wasze... i kochajcie kogoście nienawidzili... i zapomnijcie uraz i krzywd... i życzcie wszystkim dobrze, aby wam dobrze wszyscy życzyli..

Prawił długo tak, jakby do siebie mówił. Pochyliły się wszystkich głowy na piersi i oczy łzawą mgłą nawilgły.

Już dawno znikł gdzieś zawiedziony pisarz, a żyd, stary Mückenbrum drzemał za ladą z bezczynności.

II.

Biły dzwony na Rezurekcję i procesja lada chwila miała wyruszyć z kościoła. Tłum zalegl cmentarz kościelny i szeptał pomiędzy sobą. Oto procesję miał prowadzić nowy, młody ksiądz, o którym od dwóch dni cudowne wprost legendy zdążyły miasto całe oblecieć.

– Podobno głos ma jak Serafin, a ręce jego same się modlą.

– Był w szpitalu dla dzieci i jak mówią kilkoro dzieci uzdrowił.

– Dziś rano miało się dwunastu zatwardziałych i złych ludzi nawrócić..

– Mówią, że nic nie ma własnego, bo wszystko uboższym rozdaje...

– A tam gdzie był, wszędzie go świętym nazywali...

– Wiecie, że kiedy tylko przyjechał napadł go ten pijaczyna pisarz i głowę mu rozbił, a on miał go za to pocałować.

– Ale gdzież tam. Podobno pisarz w nocy się powiesił...

– Ale patrzcie ile ludzi. Tyle tłumu na procesji dawno już nie było...

– Aby tylko z sercem przyszli a nie z samej ciekawości...

. . . .

Rozwarła się brama kościoła i radosne, niebiańskie „Alleluja" zabrzmiało w wiosennem powietrzu.

Dzwoniły dzwonki i dzwony, dymiły wonne kadzidła, tłum płynął rozmodlony pieśnią zwartwychwstania, a wśród tłumu pod baldachimem. z złotym kielichem w ręce szedł On, o niebieskich jasnych oczach, z blizną zaschniętą na czole.

A baldachim niosło dwóch radców, magistracki i socjalistyczny (bo przecież Chrystus był pierwszym socjalistą), profesor gimnazjalny i stolarz Oliwa.



Strzępy Epopei.

W wiecznie zmiennym nurcie życia codziennego, w potoku coraz nowych trosk i zdarzeń, wszystko co mija, aż nazbyt szybko mija, rozwiewa się i ginie. W nerwowym, chaotycznym rytmie naszych przeżyć, rzeczy minione rychło stają się chaosem mglistym i splątanym, na którym jedynie żeruje wszechstronna demagogja partyjna, wyławiając zeń fragmenty, które przerobione i przekręcone odpowiednio służą za ilustracje, jako „wspomnienie i przykłady z niedawnej przeszłości“ dla agitacji.

A jednak... A jednak te chwile minionych, wielkich przeżyć warte są artysty, któryby wydobył cały ich blask i piękno, szczytną wzniosłość i bohaterstwo, podłość i kłam, świętość i tragikomiczność, splecione nieraz nierozerwalnie.

Pewne syntetyczne ujęcia naszej epoki, naszych przeżyć, znajdujemy w ostatnich dziełach Żeromskiego, Struga i Kadena Bandrowskiego. Obrazy fragmentaryczne, ale mimo to imponujące bezpośredniością ujęcia, siłą plastyczną i rozmachem narracyjnego stylu oraz żywiołowością talentu znajdujemy w „Pożodze“ p. Szczuckiej i „Kar-chacie“ Gettla. Do rzędu tych ostatnich utworów należą „Strzępy Epopei“, cykl opowiadań M. Wańkowicza, wydane nakładem „Ignisa“. Nie mają one jednolitej konstrukcji powieściowej, to prawda. Są to tylko fragmenty, niewielkie opowiadania, istotne „Strzępy“ wielkiej Epopei dziejowej. Ale w tych fragmentach jak w kroplach, odzwierciadla się cały horyzont przeżyć narodowych, tętni w nich cały ogrom uczucia i cały żar gorącej krwi, i żyje rzeczywistość miniona. A przedewszystkiem mają „Strzępy“ Epopei“ wielki ton i styl epickich opowiadań giętki i pyszny język, sięgający nieraz Sienkiewiczowskich wyżyn, i dający tym samym świadectwo, talentowi literackiemu autora. *S. B.*

JAN ZAHRADNIK.

Godziny senne.

Godziny senne, zmierzchy jesienne,
Dni niedojrzane poprzez mgłę łez —
Serca bez wrażeń, oczy bez marzeń,
Słowa bez echa i słowo: bez... —

Dusze odlotne, drogi powrotne,
Cienie w niezmiernej zbłąkane mgle,
Miasta samotne, równie zawrotne,
Tajemna wiedza: Tak albo Nie.

Modły wieczorne, dzwony nieszporne,
Drogi w mgłę wszystkich zgubione dróg,
Godziny senne, zmierzchy jesienne,
Światy bezdenne i na dnie — Bóg.



Jan Hryńkowski - Pejzaż.

ANTONI WAŚKOWSKI.

Z LIRYKÓW.

(Z IV tomu „Poezji“, który na półkach księgarskich wkrótce się ukaże).

O pola moje! o chwilo jedyna,
kiedy się błękit uśmiecha mej duszy —
oto we słońcu szczęśliwa godzina
kwiatami prószy...

Oto mi pachną ogrody i gaje,
powódź pszenicy, łąk żywe kobierce —
pustce i ciszy dziś serce oddaję,
to biedne serce...

I chcę, ażeby śród łanów ze złota,
w słońcu, błękicie i rzuconej tęczy
spalił się krwawy herb mego żywota,
ptak, co się męczy...

I chcę być oto jako ludzie prości,
którzy się modlą pustkowiu i ciszy —
a jeśli serce pęknie od żałości,
niech nikt nie słyszy...

Bo to jedyną szczęśliwością przecie
odejść, nim ludzie po drodze dobiją,
być samotnikiem w swoim własnym świecie,
z duszą — niczyją...



Melchior Wańkowicz.

Jan Hryńkowski.

W wystawie „grupy paryskiej“, — bo tak można nazwać wystawę prof. Pankiewicza, Rubczaka, Zawadowskiego, Kisslinga i Heydena, — wziął udział jako szósty, — Jan Hryńkowski. I przyznać należy, że istotnie — Hryńkowski jest jednym z bardzo nielicznych naszych miejscowych malarzy krakowskich, który w tej grupie, reprezentującej wysoki polot, wysiłek konstruktywny i namiętne poszukiwanie nowych walorów barwy i formy, nie czuliby się obco. To też Hryńkowski nie jest elementem obcym na tej wystawie, ale należy do niej całkowicie, treścią i wynikami swych artystycznych dążeń. A to samo już świadczy o wysokiej wartości jego prac.

W pracach jego malarskich zaznacza się wyraźna dwutorowość. Inaczej traktuje i inaczej usiłuje rozwiązać zagadnienie barwy i linji w portecie, inaczej to czyni w pejzażach, które już zupełnie wyraźnie akcentują i wyjaskrawiają niemal walory linji, coraz bardziej zmierzającej ku stylizacji.

Ta dwutorowość, dzięki której w swych olejnych portretach artysta operuje całą skalą dorobku impresjonistycznego, a w pejzażach i (nadewszystko) w drobnych rysunkach daje małe arcydziełka expresjonistyczne (bo nie jest to ni futuryzm ni formizm) wskazuje na to, że nie skostniał on i nie ukończył się w swych poszukiwaniach artystycznych, że nie został sługą żadnej metody, ani maniery tembardziej, lecz panuje nad nimi pewnie i śmiało, i jest naturą żywą i twórczą.

Zasadniczą zaś cechą Hryńkowskiego jako malarza jest świadomy i uczciwy wysiłek konstrukcyjny, wysiłek twórczy, daleki jednak od intellektualizowania sztuki, lecz umiejący sharmonizować się z bezpośredniością wrażeń artystycznych.

I to jest cecha, która jego prace wiązała w jedną całość z pracami pięciu „Paryżan“ i zapewniła mu w ich gronie naprawdę honorowe miejsce.



Portret rzeźbiarza p. H. – Portret. – Cyganka, z wystawy J. Hryńkowskiego.

A dla Was, piękne Panie...

Paryż, w kwietniu 1924.

Po pracowicie spędzonym karnawale (o, tu się bawiono wcale nie gorzej i niemniej zawzięcie, niż w Polsce!) stolica mody zajęta jest tualetami wiosennemi. Wystawy „nowości sezonu" przynoszą kilka, sympatycznie przez ogół Paryżanek przyjętych zmian.

A więc przedewszystkiem — o wiele krótsza suknia. Nie mówimy o kostjumie, bo ten zawsze był krótki, ale i suknia spacerowa, popołudniowa, wizytowa a nawet wieczorowa - odsłaniają nogę dość wysoko ponad kostkę.

Następnie — po paru sezonowych usiłowaniach wprowadzenia draperji — Paryżanka znudziła się niemi i sukienki woli mieć zupełnie gładkie (ten sam tradycyjny fourreau!) jeżeli chodzi o krój. Naturalnie w dalszym ciągu niepokalanie gładkie plecy i przód — to koniecznie. Nieliczne fałdki zgrupowane na boku lub na obu bokach, zmarszczone lub ułożone w t. zw. „godets". Zupełny już brak wiszących „pans". Więc cóż te suknie ubiera? Guziki, paciorki, haft, „écharpes". I tu — moda jest wierna sobie: materjał. Z mnóstwa nowych tkanin rzuconych w tym roku, największym powodzeniem cieszą się haftowane fabrycznie w ciągły, nikły deseń. Granatowy haftowany białym lub beige, czarny z białym, granatowy z czerwonym; z tych tkanin robi się sukienki gładkie, równe niedługie, kombinując np. dół sukni tą samą tkaniną niehaftowaną. Bardzo modne (choć stare jak świat!) są połączenia granatowego z białym pod każdą postacią. Haftów paciorkami — mnóstwo; ale nie desenie luźne, nie oddzielne motywy, tylko imitacje materjału — deseń ciągniony, kraty lub pasy z paciorków. Dużo bardzo czerwonych paciorków na granatowym lub czarnym.



Mody paryskie: Kapelusze wiosenne — ciągle jeszcze klosze — małe, malutkie, ale już z odwiniętem rondkiem.



Mody Paryskie: Sukienki krótkie haftowane w ciągły nikły deseń



Mody paryskie: Poduszki z futer, zeszywane z różnobarwnych kawałków, do układania na podłodze.

Niezmiernie „en vogue" kolor jasny bronzowy o złotawym odcieniu tak zwany kolor „mordoré" na suknie i kostjumy.

Jedną z nieśmiało wchodzących i niezupełnie chętnie przyjętych nowości są kraty, „Tissus Meyer" bardzo reklamowane, ale narazie tylko w reklamie widoczne wełniane tkaniny na płaszcze, kurtki i suknie, w kraty i pasy o pastelowych, niemniej jednak wybitnych kolorach.

Ale Paryżanka krat nie lubi. Wreszcie — naprawdę — dlaczego je ma nosić, dlaczego się poddawać gustowi pochodzącemu tak wybitnie „d'outre — Manche?". Wprawdzie w przeszłym roku mnóstwo było egipskich motywów makat, ubrań głowy, deseni na suknie, haftów i biżuterji — no, ale trzeba było uczcić pamięć Tut-Ankamena. Z początku wojny modne były kapelusze, przypominające kształtem rosyjski kokosznik — no, ale to był zrozumiały zachwyt dla wielkiego sprzymierzonego niedźwiedzia, który wiódł niedające się obliczyć rezerwy jako sukurs dla siostry Francji — ale teraz, kraty? — wspomnienie drogiego funta angielskiego nie jest znów tak bardzo przyjemne... To też ta moda przyjmuje się z trudnością i naprawdę hołdują jej głównie Angielki. Półbuciki o zupełnie niskim obcasie, wełniana gruba pończocha, płaszcz z pelerynką — oto nuta nieobca na paryskim bruku, bo Anglików jest tu mnóstwo, ale nieswoja i nonszalancka.

Kapelusze — ciągle jeszcze klosze — małe, malutkie, coraz mniejsze z maleńkiem, ale teraz już odwiniętem rondkiem, głęboko wchodzące na głowę. Dużych kapeluszy prawie że niema. Może się później pokażą do letnich sukien. Przydługie panowanie małego klosza zaczyna już dziwić same Paryżanki, ale pomimo to nie chcą się ich pozbyć. Dużo tutaj znaczy rodzaj uczesania. Do włosów obciętych, a to jednak ciągle jeszcze jest lubiane, lub do odrastających, mały klosz jaknajlepiej się nadaje, a nieodzowne długie kolczyki stanowią dlań bardzo wdzięczne dopełnienie.

Na wystawach fryzjerskich, w wielkich magazynach, a nawet już i na balach tegorocznych widać było różnokolorowe peruczki ze sztucznego jedwabiu. Zresztą zupełnie gładko rozczesane środkiem głowy, owe jedwabne „włosy" ułożone są ponad uszami i z tyłu głowy u szyji w zręczne ruloniki, imitujące dawne loki. Jeden z tutejszych dzienników mód rzuca zasadę, — że w tym roku kolor włosów musi odpowiadać kolorowi sukni — są to jednak prawdopodobnie przejściowe senzacje. Do sukni wieczorowej i do jasnej cery taka peruczka biała lub lekko kremowa bardzo efektownie wygląda.

Wobec trwającej mody krótkich, coraz krótszych rękawów utrzymuje się w dalszym ciągu rękawiczka o długim i bardzo ozdobnym mankiecie. Aplikowanie ze skórki albo haftowane kwiaty, à'jour'y wszelkiego rodzaju, hafty kolorowe dają mnostwo nowych szczegółów i robią z rękawiczki nowy zupełnie przedmiot przepychu, a już koniecznym warunkiem elegancji jest dostosowanie jej koloru do koloru pończochy.

Wycięte suknie pociągnęły za sobą nowy rodzaj stroju: „écharpe". Echarpe używa się do sukni, kostjumu, płaszcza, wiąże na kapeluszu, na szyji à la Marie Antoinette lub z boku, okręca szyję i chroni od zimna; końce ma schowane lub puszczone wolno, jak kto chce. Ale już nie może być kwadratowa, jak w roku przeszłym — „ce n'est plus la mode". Musi być podłużna, dość szeroka, bardzo barwna, bardzo cienka i bardzo długa. Może to być botin na cienkim jedwabiu, może być crêpe georgette malowany sposobem „Iltis", drukowany lub haftowany. Są to rzeczy bardzo piękne, wyrafinowane i śmiałe w kolorze. Stanowią urozmaicenie i ożywienie ciemnego kostjumu „une note amusante", co tak lubi Paryżanka w ubraniu. Naiwne i purytańskie wydawałyby się przy nich dawne nasze białe koronkowe czy płócienne kołnierze.

Co do urządzenia: ukazały się na wystawach prześliczne poduszki... z futer. Bo moda mnóstwa poduszek na kanapkach, fotelach i posadzce utrzymuje się w dalszym ciągu; wciąż jednak rozszerza granice swego zbytku i pomysłowości. Te ostatnie uszyte są z kawałków różnych futer w ten sposób, że łączy np. dwa bardzo odrębne tony i tworzy z nich albo deseń jednostajny dość regularny, jakby mozajkę, czy kwadraty posadzki (poduszka podłużna) lub koło, złożone z wycinków w dwu odrębnych tonach (poduszka okrągła i wielka). Są to oczywiście poduszki na podłogę.

A teraz na zakończenie: obok tego wszystkiego — zgadnijcie?... Kauczukowe fartuchy i rękawiczki do gospodarstwa. Tak, tak... Paryżanka bardzo lubi się ubierać, ale o służbę jest ciężko, a że jest bardzo praktyczna, więc chętnie kupuje obszerny gumowy fartuch, który nakłada na elegancką suknię, żeby się wiele razy nie przebierać, wciąga na ręce gumowe rękawiczki (a bardzo lubi mieć ładne rączki!) i idzie do kuchni obierać jarzyny i smażyć „pommes frites".

Parisette.



Mody paryskie: Rękawiczki o długich mankietach, z haftami i aplikacjami ze skórki, długie kolczyki, niezbędne do noszonych nadal małych kapeluszy i ozdobne klamerki do bucików.

EDMUND BIEDER.

O miłości, wiosnie, słońcu, winie i kobiecie.

W czasie gdy wiosna zawodzi nas fatalnie, siekąc wilgotnym, rozpływającym się śniegiem, i nawet Niedzielę Palmową zatopiła nam w błotnistym zimnym śniegu i deszczu — dobrze jest od chłodnej i śnieżnej rzeczywistości uciec w krainę poezji, która drwi sobie z kaprysów pogody i własną sobie tworzy wiosnę, z najradośniejszem słońcem, wonią kwiatów i filuternym śpiewem ptaków.

Taką wiosnę znajdujemy w poezji jednego z najwybitniejszych współczesnych liryków naszych — Edmunda Biedera. Z ostatnich jego, pełnych słonecznej pogody, sentymentu i wiosny, a wycyzelowanych w niezwykle wybitnej formie utworów podajemy dziś kilka w związku z zapowiedzianem jego tournèe autorskiem po Polsce, które obejmować będzie wszystkie niemal większe miaste jak: Sosnowiec, Katowice, Częstochowę, Piotrków, Łódź, Kalisz, Toruń, Bydgoszcz, Poznań, Lwów, Borysław i Zakopane.

Dajemy więc dziś dwa utwory liryczne i kilka złośliwych rymów o kobiecie, ze zbioru p.t. Vademecum dla kawalerów, w którem autor z subtelną a jadowitą ironją chłoszcze typ współczesnej, powojennej kobiety i czyni to aż w 128 „prawdach".

Z liryków.

W słońcu.

I wykwitłaś w przepychu bzów roniących wonią..
I skrzypki czarodziejskie w cudnej kantylenie
Baśń przedziwnie słoneczną o Tobie mi dzwonią,
Żeś jest Wiosny i Kwiatu i Piękna wcieleniel...

Rozełkała się we mnie przesłodka tęsknota
I szepce mi o Tobie tajemnicze cuda...
I wije się dziecięca baśń o szczęściu złota
I w świat baśni błękitnej ponosi mnie złuda...

I marzą mi się jakieś tajemnicze wody...
Jakieś gaje kwitnące... jakieś kwietne łąki...
Roześmiane ku słońcu w wiosenne południe...

I marzą się róż pełne pachnące ogrody...
I wonnymi kwiatami sypiące jabłonki...
I Twe oczy!... Twe oczy!... śmiejące się cudnie!...

Melancholja.

Smęt — czarodziej otulił mgłami drzew korony..
A my idziem aleją w morzu złotych liści
W zaświat jakiś nieznany, jeno w bajce śniony,
Chociaż wiemy, że sen nasz nigdy się nie ziści...

Blade, smutne przepychy gasnącego słońca
Na skronie nam padają niby złote plamy...
Jakaś ręka przejrzysta liść za liściem strąca
A my kwiatów wiosennych jesienią szukamy...

I prześniła się bajka, co w wiosenne rano
Rozzłacała nam oczy świateł falą złotą...
Sny pomarłe, jak kwiaty powiędłe nie wstaną
I śmierć kończy piosenkę, poczętą tęsknotą...

Kantylena miłosna, co nam szczęście grała
Umilkła... a po rżyskach jeno wiatr zawodzi...
Pamiętasz?... wiosna niegdyś w oczach nam się [śmiała...
I byliśmy jak dzieci... i jak dzieci młodzi...

Gra jesienne nocturno... senną głowę chylę
I idę zadumany w jakąś dal sierocą...
I godziny śnię cudne... i błękitne chwile...
I gwiazdy, co pogasły... i już się nie złocą...

Idę senny i nie wiem, gdzie poniosą kroki...
Jeno mi się łzy w oczach, łzy gorące mienią...
I gra na strunach duszy jakiś żal głęboki,
Że to wszystko się kończy jesienią... jesienią...



Edmund Bieder ze swym ukochanym pieskiem „Nygi".

Z „Rymów o kobiecie" czyli „Vademecum dla kawalerów w 128 prawdach".

Łania się cieszy gdy walczą jelenie...

Jerzemu Burlidze.

Łania się cieszy, gdy walczą jelenie,
O to, kto mężem jej przez chwilę będzie...
Bój o nią daje jej rozkoszne drżenie...
Łania się cieszy, gdy walczą jelenie...

Kobieta nic się nie różni w tym względzie
Zwycięzca budzi w niej żądzy płomienie...
Miłość bez walki jest — ale... w legendzie...
Łania się cieszy, gdy walczą jelenie....

Kobieta kocha zwykle nie sercem, lecz skórą...

Kornelowi Makuszyńskiemu.

Kobieta kocha zwykle nie sercem, lecz skórą..
Budowa obojętna — renesans, czy gotyk...
Kto wie o tem, ten zawsze będzie nad nią górą...
Kobieta kocha zwykle nie sercem, lecz skórą...

Do skóry nie przemówi płomienny erotyk
Pisany przez poetę krwi własnej purpurą...
Kobietę się zdobywa jedynie przez... dotyk...
Kobieta kocha zwykle nie sercem, lecz... skórą...

Najcięższe nawet życie ma raz chwilę jasną...

Ludwikowi Szczepańskiemu.

Najcięższe nawet życie ma raz chwilę jasną,
Gdy kobiece ramiona jak kwiat się rozchylą...
I jedna dusza drugą bierze, jakby własną...
Najcięższe nawet życie ma raz chwilę jasną...

I cóż, że nas złudzenia cudne zwykle mylą?...
I w topiel nas wgrążywszy błędne ognie gasną...
I żre potem tęsknota za tą jasną chwilą...
Najcięższe nawet życie ma raz chwilę jasną...

Rasę kobiety poznasz po pęcinie...

Henrykowi Uziemble.

Rasę kobiety poznasz po pęcinie...
Gdy pęcina jest cienka, to rasa wysoka...
Cecha krwi dobrej w naturze nie ginie
Rasę kobiety poznasz po pęcinie...

Pęcina zawsze dostępna dla oka...
Widzieć ją możesz o każdej godzinie...
Więc choćbyś nie miał nic w sobie z proroka,
Rasę kobiety poznasz po... pęcinie...

Chcesz być kochanym, miej dużo pieniędzy...

Drowi Higiniuszowi Kotulskiemu.

Chcesz być kochanym — miej dużo pieniędzy,
Bo miłość bez nich kobieta wyszydzi...
Żadna kobieta nie chce kochać w nędzy...
Chcesz być kochanym, miej dużo pieniędzy...

Tę prawdę dawno zrozumieli żydzi,
Więc do bogactwa zdążają co prędzej...
Poeta tylko tej prawdy nie widzi...
Chcesz być kochanym, miej dużo pieniędzy..

Jeśli chcesz się ożenić, bierz żonę garbatą...

Leonowi Szlapakowi.

Jeśli chcesz się ożenić, bierz żonę garbatą!...
Jeżeli przy tem ślepa, także nie zaszkodzi...)
Że garb szczęście przynosi, żyć będziesz bogato...
Jeśli chcesz się ożenić, bierz żonę garbatą...

Taka, żądzy u mężczyzn nigdy nie roznieci...
Bo któryżby rozpustnik śmiał się targnąć na to?...
Gdy nie chcesz, by na gruncie twym pasł się [„ten trzeci",
Jeśli chcesz się ożenić, bierz żonę garbatą.







Święto poezji wiosny, wina i kobiety: Świetni wykonawcy „wieczorów autorskich" Edmunda Biedera: p. Irena Kastory, świetna recytatorka, p. Stefan Wodzicki i Hanka Parysiewiczowa.



JEJ CHŁOPIEC

OPOWIEŚĆ Z PUSTYNI ARABSKIEJ

NAPISAŁ T. M. NITTMAN. ILUSTRACJE ALFR. ŻMUDY.

6)

Wszystko dotychczas poszło gładko, wymknęli się niepostrzeżenie z zamknięcia, w gąszczu leśnym, na skraju pustyni czekały już trzy osiodłane wielbłądy. Wskoczyli szybko w strzemiona, a potem przed siebie w dal, w noc, w pustynię!

Teraz jednak Jurek już miał dosyć tej jazdy, przerachował się co do sił swoich i tak nadwątlonych ciężką pracą w obozie.

Pozatem, skopana, zbita głowa dolegała mu również dotkliwie!

Każdy członek miał obolały, czuł się roztrzęsiony na tym dziwnym wierzchowcu.

Omdlewał ze zmęczenia.

Czuł, że udziela się to jego wielbłądowi, który radbyłby już też odpocząć.

Tymczasem zostawał coraz bardziej w tyle... W różowo-złotem świtaniu ci dwaj, na przodzie, przystanęli koło jakichś ruin, w zamierzchłą oddal prawieków sięgających, czekając na niego.

A on dojeżdżał zwolna

Wreszcie, co za ulga! Mógł zsunąć się z siodła na miękki piasek i paść na wznak i wypocząć z rozkrzyżowanemi ramionami.

Tom spojrzał na niego i mruknął tylko:

— O, ten ma dosyć!

A następnie pogwizdując wziął się do rozdzielania wody i daktyli, których zapas wzięli ze sobą na drogę.

Siedząc tak w trójkę na ziemi raczyli się tem skromnem śniadaniem.

Opalona, ściągła twarz Kanadyjczyka pokryła się kroplami potu.

Jurek był również spocony a gorączkowe wypieki okrasiły zwykłą bladość jego młodzieńczej twarzy.

Jeden arabczyk trzymał się wyśmienicie, z apetytem gryząc daktyle.

Wielbłądy, zostawione same sobie, porozłaziły się, szukając ostów pod czerwonemi głazami, rozrzuconemi tu i ówdzie.

Przecudny wschód słońca ozłocił wkrąg piaszczystą pustkę.

Jurek, Tom i Cwał złożyli tymczasem radę wojenną, co robić dalej?

Byli wolni, ale cóż? Nie pozostawało im nic innego, jak starać się dostać do linji angielskich placówek.

Inaczej czeka ich powolne konanie z głodu i pragnienia.

Nie bardzo wiedzieli, gdzie są, ale w każdym razie setki mil mieli jeszcze do przebycia.

Tom z pamięci narysował palcem, w przybliżeniu, mapę Syrji.

Wynikało z niej, iż należy dążyć wciąż, na południowy-wschód, aby dostać się w strefę działania armji angielskiej.

Wobec czego, popasawszy jeszcze chwilę, dosiedli wierzchowców i jechać poczęli, krokiem już, sądząc się dość bezpieczni, wprost ku słońcu, ku ujściu Eufratu, ku starożytnym ruinom Babylonu.

Słońce podnosiło się coraz wyżej na niebie, dzień stawał się coraz bardziej upalny.

Koło 10-tej zatrzymali się w kotlince, gdzie znaleźli między kamieniami naturalne źródło. W cieniu paru nikłych drzew rozłożyli się obozem.

Cwał uścielił Jurkowi swój burnus, zdjął siodła z wielbłądów i począł przygotowywać skromny posiłek. Młodziutki syn pustyni zdawał się być w swoim żywiole. Uwijał się za trzech.

A tamci dwaj biali dziwnie byli zdenerwowani. Bo też powietrze przesiąknięte elektrycznością, działało tak podniecająco! Nieruchome i jakby szklane drżało lekko w oślepiających promieniach słońca.

Krew szumiała im w skroniach, pokrytych potem, języki z trudem obracały się w ustach, niby drewniane kołki.

Kanadyjczyk leżał wyciągnięty na piasku, nieruchomy i posępny.

Jurek zwinięty w kłębek, stękał obok i pił zachłannie z miedzianego kociołka ciepłą, mdłą wodę, mimo przestróg Cwała...

Nagle Anglik porwał się w pasji:

— Stul że pysk raz nareszcie, ty smyku. Usnąć nie można przy twojem nieznośnem kwękaniu.

Jurek zaperzył się też.

— A to idź sobie gdzieindziej spać, jeśli ci przeszkadzam.

— Ja ci tu zaraz kości połamię, jak będziesz zbyt zuchwały! Smarkacz!

— Spróbuj, kiedyś taki mocny?!

I obaj porwali się z pięściami ku sobie.

Nadbiegł na to przerażony Cwał.

— Effendi! O Effendi!

Nie bić! Nie złościć się! To szkodzi. A potem popatrzył zaniepokojony w górę.

— Niedobre niebo. Czerwone! Wiatr iść od południa. Niedobry wiatr, palący!

To może być całkiem źle! Szkoda się gniewać i tak może Ałłach pokarze nas wszystkich za chwilę. Ałłach ek akbar!

Effendi! Spojrzeć na niebo, na słońce, jak w czapce! Wie co to jest? To zbliżać się Samum, śmierć, zagłada!

I na uspokojenie dał każdemu herbaty z rumem.

Kanadyjczyk porwał swój kubek i koc i powlókł się o kilkadziesiąt kroków dalej, mrucząc coś gniewnie po angielsku.

Jurek pił swoją porcję, lecz zęby mu szczękały, uderzając o blaszankę.

Patrzył też wokoło siebie wzrokiem złym, niespokojnym...

„Cwał" podpełzał ku niemu i położywszy mu głowę na kolanach, patrzał z czułością w twarz jego oczyma oddanego psa.

— Co się gapisz na mnie, jakbyś mnie nigdy nie widział? burknął Jurek.

Mimo żaru lejącego się z nieba, wstrząsały nim od czasu do czasu dreszcze.

- Biedny Effendi! Nie wytrzymać Samum pod gołem niebem. Europejczyk chronić się między mury.

Spokojnie Effendi, spokojnie.

Ałłach sprawiedliwy! Może uratuje nas!

Na to żołnierczyk, nie mogąc już panować nad sobą, zaniósł się spazmatycznym płaczem i ukrył twarz mokrą od łez w rozpalonym, żółtym piasku.

Troskliwie nakrył go Cwał wełnianym burnusem całego, by choć trochę uchronić od spiekoty i delikatnie pogładziwszy wysuniętą z pod okrycia rękę, oddalił się smutny ku wielbłądom, co zbite w gromadkę, leżały na ziemi, dysząc ciężko. Ich wielkie, wilgotne oczy, pełne lęku, zwróciły się ku dziecku i ucieszone, że choć ono jest w pobliżu, lizać poczęły jego twarz szorstkimi jęzorami. Ich włochate pyski ociekały lepką śliną.



Mały Arab wtulił się w wyleniały bok zwierzęcia i usnął z głową, zwieszoną na ramię.

Na małej oazie zapanowała martwa cisza południa. Czasem jeno ziarnka piasku, wiatrem trącane, osypywały się ze szmerem.

Na niebie tymczasem dziwne dziać się poczęły rzeczy. Słońce okryte jakby mgłą ołowianą poprzez gęsty woal rdzawe rzucało promienie.

Czarne i kłębiaste chmury nawiewały z południa.

Koło 4-tej począł dąć daleki, silny wiatr, o rozłożystym szerokim oddechu, a tak upalny, iż skręcał liście palm, niby suche, papierowe rurki.

Wysokie leje piasku podnosiły się w krąg, miotając gryzącą płuca kurzawą.

Pierwszy zbudził się „Cwał"...

Rozejrzał się wokoło i krzyknął przerażony:

— Samum!

Jego towarzysze zerwali się na równe nogi...

Spojrzeli w pustynię A tam, w oddali zamigotały punkciki: Jeden, drugi, trzeci, dziesiąty... Rosły i zbliżały się szybko.

Przysłoniwszy oczy ręką, można było rozpoznać konie i ludzi. A w rozedrganem powietrzu migotała w oddali broń.

Nie było żadnej wątpliwości.

To pogoń, za niemi!...

Niebezpieczeństwo z dwu stron:

Z jednej — ich prześladowcy, z drugiej śmiercionośna pustynia... Nie dadzą rady! Ich tylko trzech!

Stokroć lepsza śmierć w pustyni, niż z rąk cesarskich oprawców!

W mig wielbłądom narzucono siodła i pomknięto w coraz bardziej mroczną pustkę, gdzie piaskiem w oczy miotał wrogi, rozwścieczony, żywioł......

Tamci dojrzeli ich. Przyspieszyli biegu. Poszczególne postacie na łbach końskich pochylone poczęły przybliżać się ku nim. Poznali!

Huzarzy węgierscy, tureccy żandarmi i Beduini w upiornych, długich płaszczach, wywijając strzelbami nad głową i krzykiem popędzając na wpół dzikie bachmaty.

Wśród najpierwszych — szary mundur austrjacki. Wysuwa się na czoło coraz bardziej.

I jedni i drudzy mknęli, jak wicher.

Ale ten na przedzie, dogania ich już!

Jurek odwrócił głowę i zbladł... Poznał swego kata-feldfebla. Posłyszał jego tubalny głos za sobą.

— A ty ścierwo polskie! To ja przez ciebie pod sąd mam iść? Ale przysiągłem, że cię żywcem dostanę, sobako!

Nagle „Cwał“ zawrócił, objechał kołem i dostał się między sierżanta a resztę goniącego ich oddziału.

Jurek i Tom przystanęli, nie wiedząc, co ich towarzysz zamierza?

Zołdak zbliżył się do nich na odległość kilkunastu koni.

Za nim kołysząc się podjeżdżał dromedar.

Nim austrjak miał czas odwrócić się, „Cwał“ stojąc w strzemionach wypalił mu prosto w twarz ze starej, arabskiej swej flinty.

Następnie, usuwając się na ziemię, krzyknął im:

— Uciekać! Ja zostać! Ja już pokazać, jak arab strzela!...

Hukiem spłoszone wielbłądy po mknęły w dal.

A w tejże chwili zrobiło się całkiem ciemno. To wściekły Samum pustyni cisnął całą górę piasku hucząc i wyjąc potępieńczo.

Jurek i Tom, twarz przyciskając do szyji swych zwierząt, lecieli przed siebie, nie widząc już nic...

A nad nimi, przed nimi i wokoło nich, szalał orkan Arabji, dmąc i niszcząc wszystko wokół siebie żarem śmiercionośnym swego oddechu.

Wył i piaskiem pluł, jeżąc ludziom bezbronnym włos w straszliwym lęku, wiatr pustynny, wiatr mocarny — Samum — Samum!

— — — — — — — — — — — —

W dalekim zaś Damaszku w przepysznym, wschodnim Pałacu, zamienionym obecnie na „Kaiserlich deutsches Feldpostamt“, chude, kościste palce Prusaka trzymały szarą kopertę, sylabizując z trudnością adres: Georg Mokiki... K u. k. Infanterieregiment Nr. ...., Kompanie ... Feldpost ..., Orient ... A na dole: Absender: Wanda Mokika Neu-Sandec.



Na skraju widnokręgu zabłysły wieże minaretów...



Był to znów jeden z tych listów, który go nie doszedł, pisany łzami nieutulonej tęsknicy...

... Dziecko moje najdroższe!

Co z tobą? Na miłosierdzie Boskie!? Umieram z niepokoju. Codzień biegam na pocztę. Nic i nic ciągle.

Już dwa miesiące mija, jakeś mnie zostawił bez jednego słowa. Ty nie jesteś, ty nie możesz być tak bez serca!

Obiecałeś, przyrzekłeś na pamięć ojca twego pisać do mnie! Jesteś lekkomyślny, młody ale dobre masz serduszko, nie zapomniałeś chyba o starej swej Matce? A możeś ty chory, może, Boże broń! — ranny? A ja nic o tem nie wiem! Nic pomóc ci nie mogę. Biegłabym tam do ciebie dniami i nocami, ale nie wiem nawet gdzie cię szukać mam myślą mą strwożoną? Napisałeś: Jedziemy do Azji! Ale ta Azja taka wielka, taka odległa, taka nieznana i pełna niebezpieczeństw!

Synku mój! Od paru dni niezdrowa jestem, coś z sercem niedomagam, nie daję się, bo ciągle ufam, iż Wszechmogący powróci mi cię znowu!

U nas życie płynie zwyczajnym torem. Tylko coraz ciężej i coraz drożej. Brak wszystkiego, przednówek! O każdy funt kaszy prosić się trzeba, jak o łaskę! Pełno obcych i ci wyciskają z kraju co się da!

Na wschodzie, pod Rarańczą, była wielka bitwa. Może już słyszałeś co o tem?

Nasz generał H. poszedł na Ukrainę.

Stąd wynikły dla wielu młodych różne kłopoty. Ośrodkiem też zgryzot całego społeczeństwa jest Huszt, mała mieścina na Węgrzech. Myślę, że zrozumiesz, co potrzeba, więcej pisać mi trudno.

Mówią ludzie na ucho, że wkrótce będzie lepiej, byle do lata wytrwać. Ja ciągle w domu siedzę i sama nie wiele co pewnego wiem. Pewno tęsknisz bardzo do kraju? Moje ty biedactwo! Nic nie wiem, jak ci tam jest! Posyłam ci paczkę.

Znajdziesz w niej parę polskich książek i gazety, które zbieram dla ciebie z całego miesiąca. Pozatem trochę bielizny czystej i coś słodkiego, bo wiem, że lubisz! Nie wiele tego jest, bo trudno o wszystko, ale ile mogę, tyle ci daję.

Synku, uważaj na siebie, nie narażaj się, myśl o mnie, myśl o Ojczyźnie, która cię może wkrótce potrzebować będzie! Idą bowiem czasy wielkie, rozstrzygające! I może na naszą Polskę lepsza przyjdzie dola? Więc też zoieść trzeba teraz nie jedno, zaciąć zęby i uczyć się wytrwania, męstwa a zwłaszcza cierpliwości, ty narwańcze mój najdroższy!

Nie rań mego serca dłużej! Napisz, bodaj taką kartkę urzędową, niech wiem, że żyjesz, żeś zdrów, a i za to Bogu na kolanach podziękuję!

Do piersi cię zbolałej tulę i znak krzyża na czole kreślę, dziecino moja ukochana!

Wśród gwaru życia, przygód wojennych i barwnych wrażeń, pomyśl też czasem o nad życie cię kochającej

Matce“.

Fatamorgana.

Leżeli tak zbici w gromadkę i na wpół piaskiem przysypani: Jurek i dwa wielbłądy. Złączył ich strach i znużenie, wtulić się im w siebie kazał instynkt samozachowawczy:

Jeden był jego, a drugi? — Rozpoznał siodło swego małego przyjaciela i zasępił się.

Został tam, koło oazy, sam jeden, by zasłonić ich ucieczkę. Co też z nim się dzieje? Czy żyje jeszcze. Dzielny, przywiązany towarzysz! I równocześnie przypomniał sobie Jurek, jak nie dobry był dla biednego „Cwała“, na krótko przed ową straszną chwilą! Uczuł wyrzuty sumienia.

Bo on go uratował, on go — pomścił! I z jaką odwagą!...

Kanadyjczyka też nie ma! Przepadł gdzieś tej nocy grozy i wichru.

Może go Samum zabiło? Może też gdzieś leży martwy, w niegościnnych piaskach pustyni? Może obaj nie żyją już?

I tak pozostał sam. Sam, jeno tych dwoje zwierząt koło niego! Sam, na tych rdzawych, rozpalonych piaskach.

Wokoło, gdzie okiem sięgnąć, falista pustynia — słońce ogniem zieje oślepiającym — a niebo znów pogodne, jasne, bez jednej chmury, rozpięte od krańca po kraniec horyzontu, wysoko, daleko niedosięgnie.

— Pić! Pić! — krew w nim wołała tętniąca.

Przeszukał kulbaki. Na dnie skórzanej butli znalazł odrobinę letniej, śmierdzącej wody. Wypił ją chciwie, dosiadł wielbłąda i ruszył przed siebie, na los szczęścia!

Drugi garbaty rumak biegł za nim powolnie, jak pies.

Dzień cały wędrowali tak przez step bezludny i jałowy, a nużąca monotonja krajobrazu i wzmagający się upał, sączyły kropla po kropli zmęczenie, niechęć i apatję w mężne dotychczas serce chłopca.

Napróżno raz i drugi dokładnie oglądnął siodła. Prócz paru daktyli — nic nie znalazł. Widocznie wszystkie ich zapasy pozostały na ostatnim postoju, przy źródle, zapomniane w pospiesznej ucieczce.

Smierć, straszna śmierć z głodu i pragnienia wychyliła na moment swe kościste oblicze z poza ramion z sił opadającego Jurka.

Aż nagle przed oczyma zamglonemi bielmem pustynnej gorączki, daleko, za opalową tęczą szklanego powietrza na skraju widnokręgu, zabłysły białe i złociste wieże minaretów, płaskie dachy, wyniosłe korony palm, drzew migdałowych, limb i cedrów, gaje zielonych kaktusów i pomarańcz.

Wszystko opłatała migotliwa w słońcu, błękitna rzeka a dziesiątki mostów na niej, dziesiątkiem dróg zapraszały znużonego wędrowca w chłodne wnętrze nieznanego miasta...

(Dalszy ciąg nastąpi).

LISTY ZE LWOWA

(Co robi każdy szanujący się fejletonista. — Wstęp wielkanocny. — Jedna „Myśl“ zmartwychwstać powinna! — Skutki nieobliczalnej rozmowy z malarzem. — Wizja Herculanum i Pompeji. — Wykopaliska lwowskie. — Jak wygląda w parkach lwowskich. — Wieczór kolonji francuskiej w Teatrze Wielkim. — Co mówiła Wandzia Piernikowska do rodaka Poincarego. — Proces o benzynę, kochanków i zegarek. Słówko o Opinji).

Każdy szanujący się feljetonista gramolący się piórem przez nurty współczesnego życia, nie omieszka skorzystać z okazji jakiegoś właśnie przypadającego święta, aby sobie z niego urobić liryczno-łzawy wstęp do feljetonu.

Nie widzę też powodu, dla którego ja nie miałbym się zająć tym arcywdzięcznym tematem, który poeci bezkarnie eksploatują, na równi z wiosną, bzem, słowikami, duszą i księżycem.

A, że Wielkanoc w całej Polsce jest podobna — do Wielkanocy we Lwowie, więc przystępuję do „obrobienia“ tego tematu bez obawy narażenia się na zarzut, iż wyłamuję się z ramek jakie obejmować powinny „Listy ze Lwowa“.

A więc: Wielkanoc.

Kalendarz zapowiada ją niezmiennie co roku, kiedy Mamcia-Przyroda poczyna się do nas uśmiechać wśród pisku wylęgających się kurcząt i matkujących im zajęcy, którym w ów dzień radosny tradycja jajka znosić każe.



Rys. Alfr. Gürtler.

Nadchodzi Wielkanoc w tym czasie, kiedy pierwiosnki wychylają swe łepki z za śniegu w wykrotach leśnych — bazie pęcznieją jak piersi młodych dziewczyn do miłości źrałych — a świnie karmione przez rok cały, padają pod rzeźnickim nożem przeznaczenia.

Wielkanoc.

Święto Zmartwychwstania — rezurekcja radości przysypanej popiołem — święto strzelistego aktu wiary — święto przewartościowania ludzkiego *wierzę*, w naświetleniu złotych promieni przebudzonego słońca...

Wszystko się budzi... A jest ci *Myśl* jedna, która wreszcie zmartwychwstać powinna!...

Jest *Myśl* skrzydlata, co oblatuje świat cały i wali w serca narodów mocarnie — na jutrznię budząc i święto Zmartwychwstania Człowieka...

Jest *Myśl* przerastająca i rozsadzająca rusztowania i fundamenty budowli, budowanych przez egoizm całych stuleci i narody przykute do taczki swego samolubstwa.

Jest *Myśl*, co niby egzotyczny kwiat wykwita na szlamie i bagnie utylitaryzmu, zachłanności i oczy ludzkie ku ziemi zwrócone ku słońcu obraca; ku jaśni i dali, gdzie Wolność skrzydlata ulata, Braterstwo i Miłość jasnooka...

Jest ci *Myśl* taka, która wreszcie zmartwychwstać powinna!...

* * *

„Świąteczny“ wstęp byłby zatem skończony... Aha!... Na śmierć zapomniałem wszystkim życzyć „Wesołego Aleluja“. Życzę Wam tedy wszystkiego najlepszego, a moim przyjaciołom lwowskim życzę tego samego, co oni mnie życzą.

Nie jeden z tych przyjaciół przeczytawszy te „życzenia“, pomyśli: „Dlaczego ten człowiek mnie przeklina?“...

Biorę Was tedy mili Czytelnicy na świadków, że nikogo nie przeklinałem, choć jestem w takiem usposobieniu, że przeklinałbym cały świat!... Bo wyobraźcie sobie mój pech!... Do niedawna padał we Lwowie śnieg, który białym ranTuchem przykrył góry śniegowe zbrukanego śniego, nagromadzonego na ulicach przez całą zimę. Idę tedy do malarza Gürtlera i powiadam mu: „Narysujcie maleńki obrazek z naszego kochanego miasta dla „Nowości“. — Dlaczego się tak spieszycie? — mówi za złodziejskim uśmiechem sympatyczny malarz. — Macie jeszcze dziesięć dni czasu do wysłania waszego feljetonu, a przez ten czas wygląd naszego miasta może się zmienić... Słońce wysuszy, wiatr wykruszy...

— Czy pan oszalał? — mówię do sympatycznego malarza. — Patrz pan na te zwały śniegu i śmiecia, które dochodzą do drugiego piętra,„ Czy pan sądzi, że słońce ma siły Herkulesa i że ulice Lwowa są stajnią Augjasza?... Ten istniejący wygląd ulic we Lwowie nie zmieni się nawet do Zielonych Świąt, a mnie chodzi o charakterystyczny obrazek rodzajowy, odzwierciadlający wiernie pejzaż naszego miasta.

Sympatyczny malarz pokiwał głową i obiecał na drugi dzień ów obrazek.

Tej samej nocy niebo się wyiskrzyło gwiazdami i powiał ciepły wiatr.

— Jestem zgubiony! — pomyślałem. — Zanim wyszlę feljeton z zamówionemi ilustracjami do Krakowa, gotów się stan naszych ulic gruntownie zmienić i jak ja wtedy będę wyglądał?... Miał rację ten malarz, że uśmiechał się tak po złodziejsku!...

Niewymownie zmartwiony położyłem się spać. Tej nocy zrywałem się kilka razy ze snu i wyglądałem przez okno, obserwując niebo i gwiazdy.

— Psiakrew! Gwiazd jak nasiał! Od jutra gotów się śnieg zacząć topić i co ja pocznę z zamówionemi ilustracjami? Bóg mię karze że pomstuję na swoje rodzone miasto!...

Wczesnym rankiem obudziłem się.

— Dzięki Ci Boże!... Śnieg sypie, aż miło, a drobny deszczyk sekunduje bajecznie! Himalaje śniegowe urosną nieco, a czekoladowe błotko na ulicach zgęstnieje... Ilustracje będą aktualne. Uradowany wybiegłem na ulicę. Pycha! Jeśli Opatrzność zezwoli, to wkrótce utoniemy w błocie i zadusimy się pod zwałami śniegu.

Oczyma duszy widzę już nawet ten obraz, kiedy Komisja koalicyjna z kinooperatorami z Ligi Narodów zacznie odkopywać Lwów



¿I to ma być wiosna?]

z pod stężałej lawy błotnej... Losy Herculanum i Pompeji stają mi żywo przed oczyma... Z przedziwną plastyką patrzę na kopułę zalanego Teatru Wielkiego i na pracę mężów ligowych nad odkopaniem nieszczęsnego miasta... Widzę wydobytą czaszkę jakiegoś wodogłowca, którą Lombroso skwalifikowałby jako czaszkę lwowskiego recezenta teatralnego i dostrzegam w ręku robotnika szczoteczkę do zębów, którą Miejski

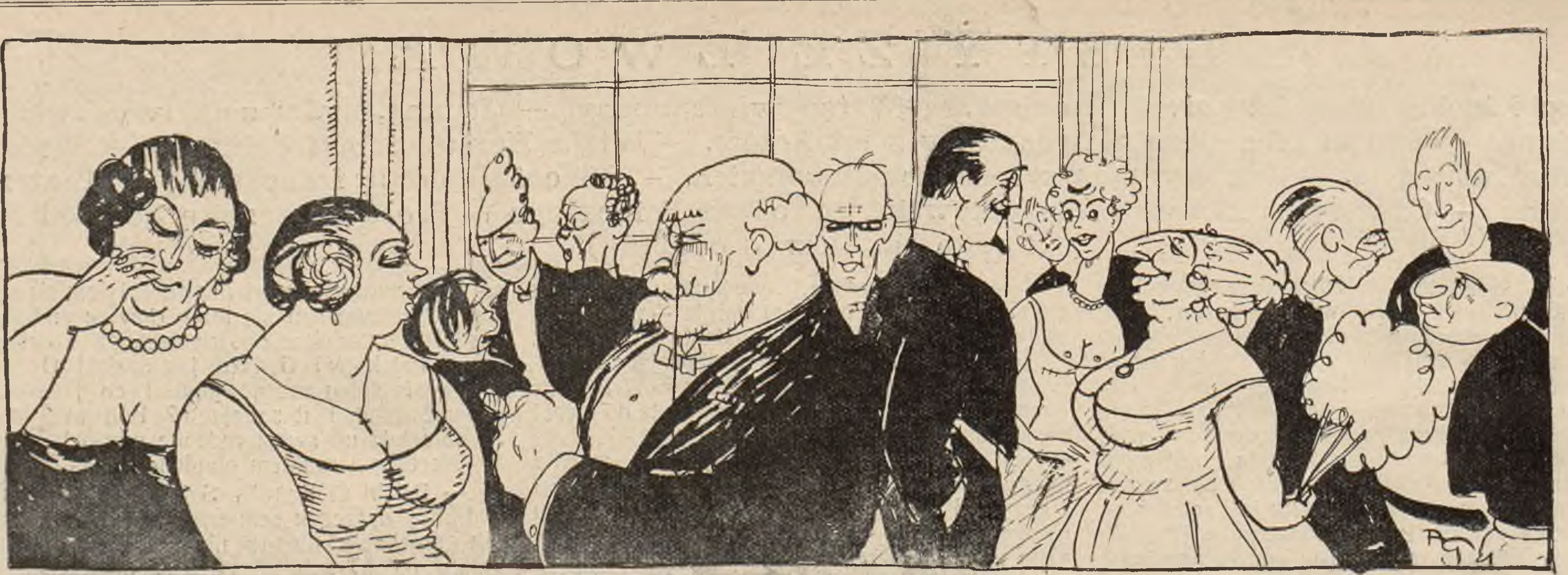


1) Himalaje śniegowe rosły a błoto czekoladowe na ulicach gestniało



2) Komisja Ligi Narodów odkopywać będzie Lwów z pod topieli błota...

Rys. dla Nowości Alfr. Gürtler



W foyer teatralnem całe „Saint Germain" nadpełtwiańskiego grodu, mówiące stylem rozmówek Ollendorffa... Rys. dla „Nowości" A. Gurtler.

Zakład Czyszczenia Miasta posługiwał się przez wiele lat w swej pracy nad oczyszczaniem Lwowa. W przedziwnem jasnowidzeniu oglądam tragiczny los mego miasta, które niegdyś ucho dziło za jedno z najweselszych i najczyściejszych miast w Polsce... Tempora mutantur!...

— O Boże, za co nas tak karzesz? — pomyślałem, przecierając sobie czoło, aby odegnać wizję potwornego majaku. — Zawsze o tej porze w parkach i ogrodach publicznych jest już wesoło, zielono i gwarno, a tego roku nawet żadnego żołnierza z mamką nie widać... I to ma być wiosna?... Czy dlatego, że tu i ówdzie siedzi jakiś zwarjowany liryczny poeta w parku i przejada w natchnieniu swoje „wierszowe" za sonet, po którego przeczytaniu Petrarka obróciłby się w grobie?

Tak oto myślałem owego pamiętnego dnia, nie przeczuwając, że słowa te pisać będę w czasie najpiękniejszej pogody i że zamówione ilustracje do których obecnie zmuszony jestem dorabiać tekst, staną mi kością w gardle. Uf! Przeklęta robota! Przysiągłem sobie nigdy już nie zamawiać ilustracyj z góry i nigdy nie pisać o pogodzie, ministrach, ani o innych rzeczach, które dziś są, a jutro ich niema. Najlepiej pisać o rzeczach, których Wielki Mistrz, zwany *Czasem* nie zdoła napiętnować stemplem nieaktualności. Taki np. „Wieczór francuski" jaki odbył się w Teatrze Miejskim nigdy nie straci na aktualności, bo wszystko co urządza Francja jest teraz aktualne. Kolonja francuska we Lwowie odegrała 2 go bm. trzy jednoaktówki na dochód biednych dzieci. Odegrano: „L'anglais tel qu'on le parle" — Tristana Bernard, „La grève des forgerons — François Coppée'go i „Gringoire" — Theodora de Banville'a. Cel zbożny — wykonawcy kulturalni i wykwintni jakby nie amatorzy – kolonja francuska w komplecie — nieco inteligencji z „Amis de France" z publiczności rozumiejącej po francusku kilkanaście midinetek nadsekwańskich fungujących we Lwowie jako guwernatki, a reszta... Reszta... Naturalnie, że całe przedmieście Saint Germain nadpełtwiańskiego grodu, mówiące stylem rozmówek Ollendorfa...

W foyer teatralnem w czasie przerwy „tout Leopol" wymawiający i rozumiejący tylko słowa *„Cafe de la Paix", hautes noveautes merçi, madame i bon jour.*

Pani Gewaltsprung emabluje będącego w przejeździe przez Lwów komiwojażera musztardy z Paryża — nienagannie. Haniebną francuszczyzną mizdrzy się jakaś stara kwoka do potomka Cyrana de Bergerac rodem z Kołomyji — niesłychanie wytworny jazz-bandzista z „Ecole de danse" w gmachu Jad-Charuzim flirtuje z gaskońską brawurą z panną Salcią z „Kursu francuskiego w 11 lekcjach" — radczyni Piernikowska piorunuje na swoją Wańdziunię, która wzdryga się na propozycję matki, wdania się w dysputę z Francuzem o dystynkcji pierwszorzędnego fryzjera.

— Idź-że Wańdziu i poparluj coś z tym monsierem... No, idź że, kiedy mówię!... Dwa lata już płacę za to francuskie, niechże choć mam z tego jakąś korzyść... Nadradczyni Szkapacka patrzy na nas... idź-że mówię! Niech zobaczy, że moje dziecko potrafi się jeszcze dzięki Bogu rozmówić z rodowitym Francuzem, a ręczę, że żółć jej pęknie...

Wańdzia podchodzi — mamcia promienieje...

— Bon soir monsieur! — mówi Wańdzia po francusku do rodaka pana Poincarego.

— Witam piękną panią! — mówi Francuz nieco zbaraniały.

— Czy pan lubi sałatkę francuską? — pyta Wandzia po francusku, spuszczając oczka w dół.

— O bardzo! Bardzo lubię, piękna pani!

— Mój ojciec jest chory, ale za to matka moja jest zdrowa — mówi Wandzia językiem z Ollendorfa...

— O, to przykre, że pani papa jest chory! — mówi Francuz po wersalsku.

— Widzi pani — mówi radczyni Piernikowska do nadradczyni Szkapackiej — jak moja Wandzia parluje już od godziny z tym dyplomatą francuskim... Och, ta edukacja dużo kosztuje, moja pani...

Nadradczyni Szkapacka dostaje pięknie zarysowane plamy wątrobiane na policzkach.

— Czy pan ma surdut i kamizelkę? — pyta dalej Wandziunia.

— Naturalnie, że mam! — mówi Francuz rozglądając się niespokojnie.

— Do widzenia! — zakończa rozmowę Wandziunia i wraca trjumfalnie do mamusi.

Mamusia promienieje — Wandzia się śmieje — Francuz baranieje.

A później słyszało się we Lwowie opinje pani Gewaltsprung, jazz-bandzisty, panny Salci, radczni Piernikowskiej, Wandzi Piernikowskiej i nadradczyni Szkapackiej: „Ach, jak ci Francuzi gralil Co za dykcja, jaki język i kultura w języku! Ach! Na takie przedstawienie bardziej opłaca się pójść jak do naszego teatru lub na proces Izy Motyczyzskiej".

A zaznaczyć należy, że Lwów miał swoją senzację w procesie niejakiej Izy czy też Anieli Motyczyńskiej, która mając aż dwóch kochanków zlakomiła się jeszcze i na dwie beczki benzyny. Biedna kobiecina dostała coś 8 miesięcy, nie za benzynę, ani za swoich kochanków, ale za jakiś głupi zegarek, który skradła w międzyczasie u żony jednego z kochanków.

Reporterzy zrobili z tego wielki proces, pisząc sążniste sprawozdania i urabiając opinję lwowską.

A wiadomo, że każda Opinja, a specjalnie lwowska Opinja jest na utrzymaniu kilku rycerzy przemysłu eksploatujących niegodnie powodzenie uliczne biednej kobieciny. *W. Raort.*

Lwów, w kwietniu 1924.

Senzacyjny proces we Lwowie.



Jeden z najwybitniejszych obrońców lwowskich mecenas Dr. Ottomar Link.



Iza Motyczyńska — bohaterka afery benzynowej



Młody adwokat Dr. Matkowski, który w świetnem przemówieniu udowodnił niewinność oskarżonego Ancewicza.

Rys. dla „Nowości" prof. Kazimierz Kontynowicz.

Senzacyjny proces we Lwowie.

„Afera benzynowa", której apilog rozegrał się przed sądem we Lwowie, stanowiła przez czas dłuższy „clou" zainteresowania całego miasta, ściągając na salę rozpraw tłumy, jakich tam dawno nie widziano. Przeważały kobiety. U wejścia staczano formalne walki. Przedmiotem wszystkich niemal rozmów była tragiczna bohaterka: Iza Motyczyńska.

Cała sprawa to — dla krytyka obyczajności współczesnej wdzięczny temat do napisania dzieła, w którem najmniejszą rolę graliby oskarżeni, najbardziej zaś charakterystyczną, przedewszystkiem wiecznie chora na głód senzacji prasa dzisiejsza, a potem cały ten tłum bezkrytyczny, bezmyślny ciągle nienasycony karmą reporterskich elukubracji.

Nie parę beczek rządowej benzyny, materji która wogóle łatwo się ulatnia, stanowiły przedmiot rozprawy. Jej treścią były — jak to określił pewien sprawozdawca — dzieje grzechów jednej kobiety, żywot stworzenia nie bardzo poczciwego, sui generis emancypantki, trochę tylko sprytnej a znacznie więcej interesownej niż interesującej.

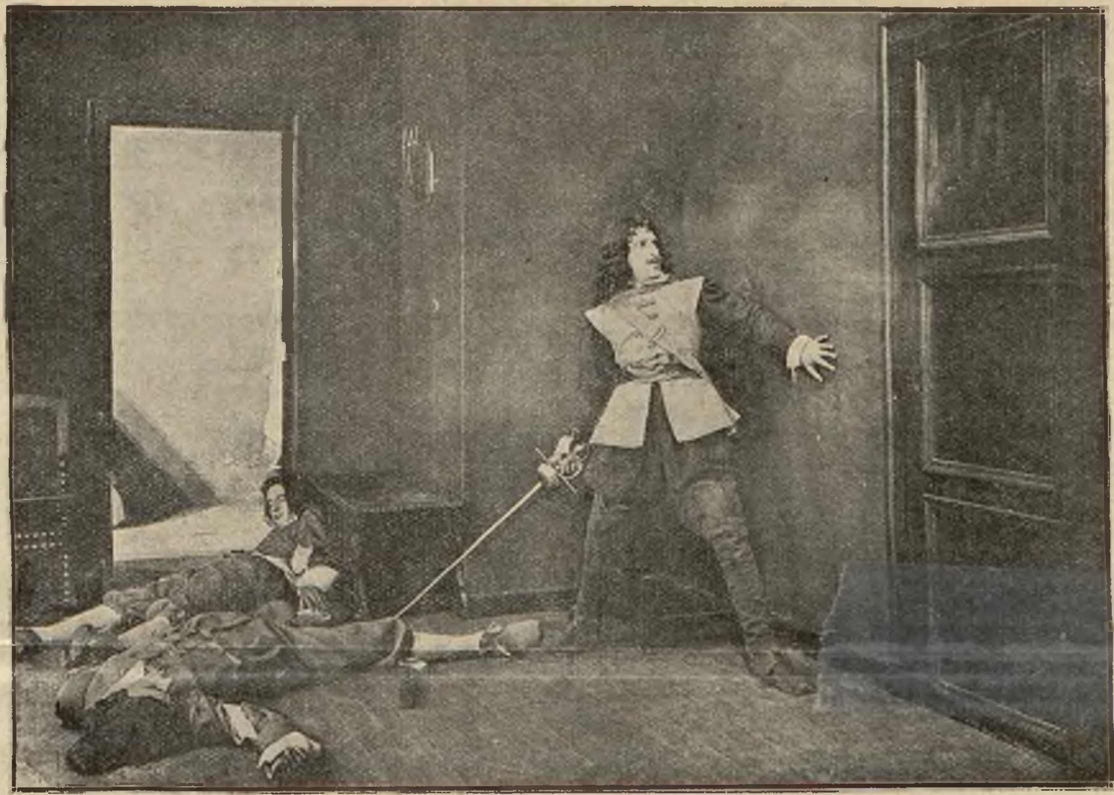
„Kobieta — demon" — wedle definicji pism senzacyjnych, w gruncie rzeczy niebezpieczna histeryczka o ptasiej inteligencji, jeśli mowa o urodzie — niebrzydka, potrafiła w momentach odwagi i bezczelności (jak to u histeryczek bywa), tak dalece skomplikować poszczególne ludzkie drogi, że rozplątywanie tego wszystkiego, stało się dla sądu nieomal trudnością godną rozwiązania gordyjskiego węzła.

Dużym pożytkiem i korzyścią ogólną całej sprawy, może być tylko to, że sposób przeprowadzania rozprawy przez przewodniczącego, radcę Antoniewicza, jego niezwykły takt, spokój, wyrozumiałość na słabostki ludzkie, (wobec ciągłych ataków histerji oskarżonej) wreszcie skrupulatność w przeprowadzaniu dowodów, musiały w tłumach przysłuchujących się rozprawie, wzbudzić głębokie zaufanie do naszych sądów i wymiaru sprawiedliwości.

W wyniku procesu trwającego tydzień skazano oskarżonego Bukasiewicza kierownika warszt. autom. na dwa lata ciężkiego więzienia, Brosza, defraudanta benzyny na rok, Izę Motyczyńską za ukrywanie kradzieży i składanie fałszywych zeznań (w procesie wojskowym) na dziesięć miesięcy więzienia, wszystkich z wliczeniem aresztu śledczego i zastosowania amnestji.

Senzacyjna rozprawa stała się popisem retoryki najsławniejszych lwowskich obrońców Dra Macielinskiego i Dra Linka. W obronie niewinnie w tę aferę wplątanego właściciela dóbr Ancewicza wygłosił doskonałą mowę młody adwokat Dr. Matkowski.

Podajemy podobiznę oskarżonej i obrońców wedle szkiców zrobionych na rozprawie przez naszego korespondenta. *(l.)*



Trzech muszkieterów w „Uciesze": D'Artagnan w pułapce.

Trzech muszkieterów.

Jedna z najmilszych opowieści świata, prototyp wszelkich romansów historycznych, awanturniczych, jednem słowem: „Trzej muszkieterowie" Dumasa doczekali się nakoniec odpowiedniej realizacji na filmie. Szlachetny Atos, próżny siłacz Portos, kochliwy nabożniś Aramis i zawadjacki d'Artagnan wcieleni zostali przez najwibitniejszych artystów francuskich wytwórni „Pathé". Zwolennicy Dumasa ujrzą swych trzech ulubionych bohaterów i niezwykłe przygody d'Artagnana w najbliższym już programie „Uciechy".

O kinoteatrze „Reduta"

W Krakowie i Bochni – słów kilka.

Właśnie rok temu, otworzono w Krakowie przy ul. Lubicz 15. nowy kinoteatr pod nazwą „Reduta". Lokal zaadaptowano dużym kosztem, a przedsiębiorstwo postawiono od samego początku na pierwszorzędnej stopie. Dziś, po rocznem zaledwie istnieniu, należy „Reduta" do najbardziej ulubionych i uczęszczanych teatrów świetlnych w Krakowie, a to dzięki wartościowym, zajmującym, a różnorodnym programom. Szczególną uwagę zwraca „Reduta" na polską wytwórczość filmową, z których ostatnio „Syn Szatana" film nader oryginalny, cieszył się ogromnem powodzeniem. W najbliższym czasie wyświetlanym będzie znowu cały szereg polskich programów.

„Reduta" rozwinęła się dziś w pokaźne przedsiębiorstwo, W grudniu ub. r. otworzono bliźniaczy kinoteatr w Bochni, pod tą samą nazwą, który w tem sympatycznem, powiatowem mieście dwudziestotysięcznem, stanowi jedyny, a na sposób wielkomiejski prowadzony, lokal rozrywkowy, obliczony na pięćset miejsc, z własną centralką elektryczną i centralnym ogrzaniem. Obie „Reduty" zatrudniają stale z górą 30 osób.

Właścicielem przedsiębiorstwa i jego kierownikiem artystycznym i administracyjnym jest redaktor p. *Zygmunt Cygnarowicz* (xx), kierownikiem technicznym wybitny fachowiec inżynier Jan Strzałkowski (x), kierownikiem adm. „Reduty" bocheńskiej p. Józef Szczepanowski.

W najbliższym czasie ma być otwarta trzecia „Reduta" w Małopolsce, a czwarta na Górnym Śląsku.

Jak ważną placówką, również i ekonomiczną, są w Polsce kinoteatry, racjonalnie prowadzone, dowód, ile przynoszą one gminom i skarbowi państwowemu. Naprzykład krak. „Reduta" zapłaciła w ciągu jednego miesiąca marca b. r. samego podatku widowiskowego gminie krakowskiej, z górą sześć miljardów, innych opłat i podatków państwowych i gminnych uiściła około dwa miljardy. Pozatem „Reduta" świadczy stale i chętnie na liczne cele społeczne i humanitarne.

Z okazji pierwszego jubileuszu „Reduty" otrzymała dyrekcja tejże, liczne gratulacje. I my dołączamy się do nich, życząc „Szczęść Boże". Niech się mnożą w Polsce „Reduty" — reduty pracy i godziwej rozrywki.



Kinoteatr „Reduta" w Bochni.



Kino „Reduta" w Krakowie.



„Załoga zwycięskiej Reduty", (xx) red. Cygnarowicz, właściciel i kierownik przedsiębiorstwa. (x) p. J. Szczepanowski kierownik „Reduty" bocheńskiej.

Nie mów hop, póki nie przeskoczysz

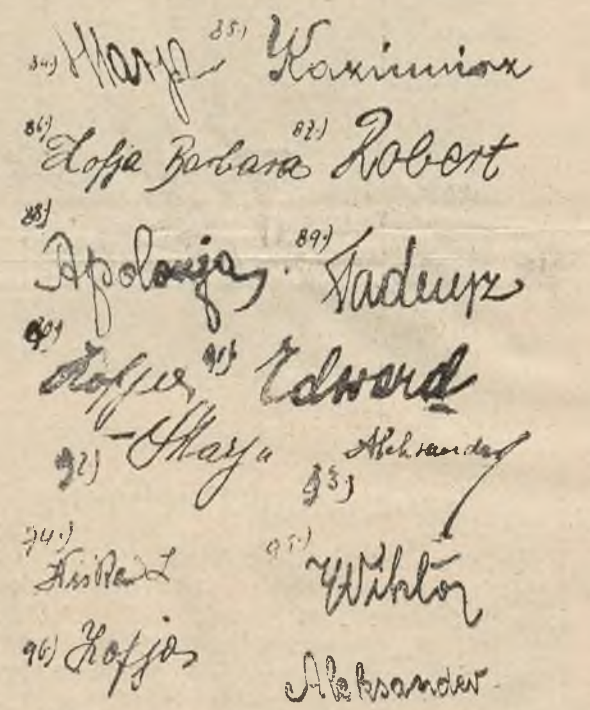
czyli.. match Wisła-Polonja (5 : 2).

O ile Kraków zmartwił się niepomiernie srogą klęską „Cracovii" w stolicy, o tyle w Warszawie wybuchła z tego powodu żywiołowa radość. Bo stała się przecież rzecz niesłychana: drużyna stołeczna zwyciężyła prowincjonalną!... Więc w prasie warszawskiej zagrzmiały trjumfalne fanfary, że wreszcie Galilei wytrącono z rąk prymat w piłce nożnej...

Jak słusznie zauważył jeden z dzienników krakowskich nie byłoby w tem nic anormalnego, gdyby stolica przewodziła reszcie kraju w dziedzinie sportu, jak to się dzieje na całym świecie. Niestety, dzielni „Wiślacy" dowiedli ponad wszelką wątpliwość, że do roli tej Warszawie jeszcze bardzo daleko. W przeciwieństwie do „Polonji", w której odznaczyły się jednostki (obaj Lotkowie, Grabowski), ile całość nie miała spoistości i zgrania, mistrz Krakowa pokazał grę równą i harmonijną, w której wybijali się wprawdzie pojedynczy gracze (Reyman, Balcer), lecz cała drużyna pozostawała ścisłym zespołem, którego żadna część nie szwankowała. Na specjalne uznanie zasługuje „Wisła" za nieczęste u polskich drużyn panowanie nad swymi nerwami: dwie bramki, otrzymane na początku gry, nie zdołały „speszyć" dzielnych Krakowian, którzy wlepili „Polonji" pięć goali.

Wobec tego prasa warszawska uważała za stosowne spuścić nieco z tonu i namawiać piłkarzy stołecznych, by pilnie ćwiczyli a może dorównają kiedyś drużynom małopolskim...

Dział Grafologiczny



84) **Marja** jest naturą bardzo delikatną i artystycznie uzdolnioną jednak już poniekąd wypaczoną, skłonną do nieszczerości i sztuczności w każdym razie skrytą i nieco chciwa ale silną w swym rodzaju i wytrwałą.

85) **Kazimierz** należy do ludzi typu realistycznego, o jasnym ale niezbyt twórczym umyśle, uzdolniony do wykonania ale wskutek pewnej skłonności do histerycznej przesady więcej brutalny niż silny. posiada rysownicze zdolności.

86) **Zofja Barbara** jest bardzo praktyczną i przezorną niewiastą. Umysł logiczny i wymagający ale nieco pedantyczny, uczucie namiętne ale hamowane a kierunek woli całkiem teraźniejszy.

87) **Robert** jest człowiekiem życia praktycznego i reprezentywnego. Ścisłość myślenia, łączy się tu z przeciętną inteligencją w całości dosyć harmonijną, opanowaną formalnie ale nieco nie wytrwałą.

88) **Apolonja** uwydatnia charakter bardzo dziwny i dziwaczny Pozór i problematyczność istotna czynią z wrodzonej fantazji i ruchliwości umysłowej indywidualność ekscentryczna ale bez formalnych zalet i walorów. Bardzo dobry słuch.

89) **Tadeusz** jest naturą szeroką i inteligentną ale dziwnie niezrównoważoną, wiecznie niespokojną raz to szorstką a drugi raz sentymentalną, a wszystko na podkładzie wrodzonego egoizmu i optymizmu życiowego, lecz czyn, w skutek niewytrwałości, jest przeważaie słaby.

90) **Zofja** jest niehamowaną, zawiłą i porywczą naturą, jedynie znaczna praktyczność i zmysł kupiecki uwydatniają się dodatnio, zresztą próbka za mała i w tym wypadku nie wystarczająca.

91) **Edward** jest człowiekiem realistycznego poglądu na świat, logiczny ale jednostronny i pedantyczny, sam zaś poniekąd zaniedbany. W całości natura naiwna jeszcze a w gruncie rzeczy charakter zawzięty i energiczny.

92) **Marja** jest bardzo delikatną i bardzo wymagającą osóbką, silna wrażliwość i nerwowość czynią ją porywczą i egzaltowaną, istnieją jednak wyraźne zdolności pedagogiczne i znaczna twórczość umysłowa.

93) **Aleksander** nie należy do „wielkich". Jest to typ drobiazgowy, w swoim żywiole bardzo użyteczny i zręczny ale też ma polot fantazji i w całości więcej do naukowej niż do praktycznej czynności uzdolniony. Istnieją też zdolności literackie ale pewne braki logiczne i czysto formalne stoją rozwojowi temu na przeszkodzie.

94) **Wiśka** jest osóbką ruchliwą, praktyczną a nawet inteligentną ale pod wielu względami zaniedbana. Brak jej owej niezbędnej w życiu glazury a raczej maski przy odgrywaniu „sztuk życia".

95) **Wiktor** należy do charakterów skomplikowanych duchowo i cieleśnie. Jest to umysł szeroki a przecież niejasny, twórczy a przecież nie logiczny, uczucie jest skryte ale wymagające i nie bez polotu fantazja, ale pretensjonalnie przesadzone. Najlepiej uwydatnia się wola, która wykazuje dużo żywiołowości.

96) **Zofja** przedstawia przeciętny typ dobrze wychowanej niewiasty praktycznej, logicznej, logicznej językowo uzdolnionej, z oznakami skłonności do zatargów i sprzeczki ale silnej inicjatywie i wytrwalości.

97) **Aleksander** przedstawia się jako charakter mniej więcej następująco: jest to intelekt szkolony ale niezbyt twórczy. Uczucie jest poetyczne i intuicyjne ale także niezbyt szczere i skłonne do histerycznej ekscentryczności. Natomiast wola jest bardzo silna i uparta równocześnie. *H. Gralski.*





Najsilniejsza kobieta świata: W cyrku Walhalla w Berlinie występuje obecnie atletka — Rosjanka Katja Sandwina, która jest najsilniejszą kobietą świata. Podnosi ona jedną ręką trzech mężczyzn, rwie łańcuchy, albo kładzie się plecami na stołku najeżonym tysiącem gwoździ, pozwala położyć na sobie kilkunasto pudowe kowadło i bić w nie młotami bez szkody dla siebie jak to widzimy na drugiej fotografji. Na pierwszej widzimy, jak podtrzymuje pomost z kilkunastu ludźmi.

Fot. John Grandenz Berlin.

OGŁOSZENIA



CO ZNALEZIONO W GROBOWCU TUTANKHAMENA

POSZUKUJE SIĘ POKOJU UMEBLOWANEGO bez utrzymania, może być wspólne wejście. Łaskawe zgłoszenia do adm. „Nowości Illustrowanych pod **T. B.**

POSZUKUJE POKOJU młody, solidny człowiek na dogodnych warunkach może być z utrzymaniem. Zgłoszenia w Ad. „N. Illustr." pod **W. W.**

WŁADZE:

Województwo, ul. Basztowa l. 26, tel. 1141; godziny przyjęć wojewoda od 11—1, godz. urzęd.: od 8—3, dla stron od 10—1. **Starostwo krakowskie,** ul, Starowiślna l. 13, tel. 3554; godziny przyjęć: starosta od 11—1, godz. urzęd.: od 8—3, dla stron od 10—1. **Magistrat,** plac WW. Swiętych l. 3, tel. 46; godz. przyjęć w prezydjum miasta: od 12—2 z wyjątkiem niedziel i świąt; godziny urzędowe od 8—12. **Dyrekcya kolei państwowych,** plac Matejki l. 12, tel. 2458; godziny przyjęć; prezes dyrekcyi od 11—1, godz. urzęd.: od 8—3 zwyjątkiem niedziel i świąt. **Dyrekcya policyi,** ul. Krupnicza l. 34, tel. 458; godziny urzędowe: od 8—3

Szkło stołowe, Porcelanę Ćmielowską, Lustra, Lampy i t. d.
poleca najtaniej
W. BAZES Kraków Rynek gł. 35
Krzysztofory Tel. 4582.
Hurt — Detal.

FIRANKI, PORTJERY
KOCE NA ŁÓŻKA
Wielki wybór bielizny
damskiej, płócien, ręczników i bielizny stołowej
poleca jaknajtaniej
KAROL JAROSZ
Kraków, Floryańska 35.

Wykwintne! Wyborne! Tanie!
OBUWIE DAMSKIE
w znanym z taniości magazynie pod firmą:
GIZELA BRAND
KRAKÓW, ULICA STAROWIŚLNA L. 6

Fortepiany i Pianina
Bechstein
Blüthner
Bösendorfer
do nabycia tylko u firmy:
Helena Smolarska
Kraków, ulica Szewska L. 9 I. p.

Zakład techniczno-dentystyczny
N. KLEINBERGERA
Kraków, Szewska 27 I. p. (narożnik Plant)
otwarty od godz. 9—1 i od 3—6.

Materjały wełniane
na kostjumy, płaszcze, raglany i ubrania męskie
Nowości w jedwabiach
Markizety, batysty, perkale, zefiry i szyfony.
poleca po niskich cenach
KAROL JAROSZ
Kraków, Floryańska 35 (róg ul. św. Marka).

Do P. T. Fotografów!

P. T. Fotografów, tak zawodowych jak amatorów, upraszamy uprzejmie o nadsyłanie nam robionych przez się zdjęć ciekawszych wypadków mogących zainteresować ogół Czytelników, celem reprodukowania ich w naszem Piśmie. Do każdego zdjęcia należy dołączyć notatkę, zawierającą treściwie zebrane szczegóły, ewentualnie przysłać numer któregoś z pism codziennych, gdzie znajdowała się już odpowiednia wzmianka.

Za nadesłane nam zdjęcia, o ile nadadzą się do umieszczenia w naszem Piśmie, wypłacać będziemy ustalone za wzajemnem porozumieniem honorarium, jakoteż na żądanie zamieszczać pod nią nazwisko lub firmę wykonawcy zdjęcia.

Przesyłki upraszamy adresować: *Redakcya Nowośc Illustrowanych", Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkego l. 95.*

FEDEROWICZ i PALUGYAY

Kraków, Podwale 6.

Wina musujące, wina mszalne z własnych winnic na Węgrzech.

PIWNICE: Budapeszt, Preszburg, Wiedeń, Arad i Triest.

Właściciel i wydawca: Czesław Lipiński. Odpowiedzialny redaktor Dr. Lipiński. Drukarnia i kliszarnia „Nowości Illustrowane“ pod zarządem L. Gronusia (firma Friedleina